

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 94.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, $\frac{1}{13}$ lipca 1861.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Grzegorz Knapski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Nagrobek księcia Dymitra Sanguskiego w Czechach (z drzeworytem). — Kościół św. Jana w Gdańsku (z drzeworytem). — Niedziela, sielanka (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Podkamicz (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Sobótka. — Kronika półroczna. — Przegląd piśmienniczy. — Notatki z podróży po europejskiej Turcji (dalszy ciąg). — Korespondencya od redakcyi.

Grzegorz Knapski.

W dawnych wiekach nauki i światło w Polsce, równie jak u innych ościennych na Zachodzie narodów, jedynie w języku łacińskim rozszerzały się i upowszechniały; mniemano bowiem, iż nie mogło być szacunku godne i rozumne, co by nie było pisane po łacinie. Język ten był językiem rządowym i stanu, uczeni na nim tylko przestawali; w szkołach, na posiedzeniach, w czynnościach publicznych i w pismach wszelkiego rodzaju panowała wyłącznie łacina. Przyczyna też szczególnego przywiązania się u nas do tego języka, był zwyczaj powszechny w całej Europie, a nadto stosunki z Rzymem i obcymi dworami, skutkiem których Polacy w obec legatów i posłów zagranicznych w łacińskim obradowali języku, wreszcie żądza sławy europejskiej kazała pisać językiem przez tyle wieków jedynie prawie używanym, przezco poeci wieniec od papieżów i cesarzów, a statysci związki dyplomatyczne zyskiwali.

Jakoż z kolei czasów, długo naukom naszym przyjaznych, mieliśmy znakomitych w tym języku autorów, którzy sławę imienia polskiego szeroko po świecie roznieśli, a nawet w epoce największego rozwoju literatury polskiej, w tak zwanym złotym wieku panowania Jagiellonów, obok wzorowych pisarzy w języku krajowym, byli jeszcze niemniej doskonali łacinnicy.

Ale zbliżała się chwila upadku, która najprzód w świecie umysłowym się rozpoczęła, kiedy przy schyłku XVI stulecia powstała u nas szkodliwa dla obu języków moda mieszania jednego z drugim, co koniecznie spowodować musiało zaniechanie obydwóch. Nim jednak do tego przyszło, zjawił się mąż co pragnął temu zapobiedz, ratując szczególnie czystość ojczystej mowy przez wypracowanie najdokładniejszych na owe czasy słowników, stanowiących epokę w dawniej leksykografii polskiej, które nie tylko w kraju, ale i za granicą nie miały sobie równych i wzorem nawet dla obcych służyły.

Mężem tym był Grzegorz Knapski, jezuita, żyjący w pierwszej połowie XVII wieku, jeden z tych rzadkich ludzi w owym osławionym zgromadzeniu, co po-

święcali całe swe życie zamiarom ogólnego dobra i pożytku. Dziś sława i zasługi jego zaledwie bibliografom są znane, a ogromne dzieła, owoc długoletniej, niezmordowanej pracy, w najszlachetniejszej myśli dokonane, są teraz rzadkością w niewielu zbiorach się znajdującą. Przypomnienie zatem zasług znakomitego w literaturze leksykografa i przedstawienie nieogłoszonego dotąd nigdzie wizerunku jego postaci, poczytalimy za obowiązek naszego pisma.

Grzegorz Knapski urodził się w roku 1564 na Mazowszu, w miasteczku Grodzisku, dziś w gubernii i powiecie warszawskim położonego, gdzie ojciec jego

przez lat trzy retoryki, filozofii i teologii. W naukach tych, wedle współczesnego świadectwa, średni tylko uczynił postęp, bo ani zdrowia mocnego, ani żywego i bystrego nie miał pojęcia; brak ten atoli sowicie nagradzał usilnością i pracą, w czem wszystkich swoich współtowarzyszy przewyższał. Dla niej szacowali go wielce przełożeni i spodziewając się w nim użytecznego członka swego zgromadzenia, do zakonu go namówili. Powolny, łagodny, charakteru melancholijnego, pilny w obowiązkach, przychylny wszystkim umiał sobie zjednać.

Po skończonych naukach, otrzymawszy święcenia kapłańskie, przeznaczony był na nauczyciela w kolegium wileńskim, a potem do innych; uczył w nich grammatyki, retoryki i matematyki, później zajmował się kazuistyką i polemiką teologiczną.

Wśród tych zatrudnień i prac nauczycielskich, przekonawszy się własnym i uczniów swych doświadczeniem, jak ważną i konieczną była potrzeba dobrego słownika mowy łacińskiej i polskiej, powziął wielki zamiar ułożenia takowych i ogromne to przedsięwzięcie w pierwszych latach XVII stulecia rozpoczynając, do końca życia swego przez lat kilkadziesiąt z bezprzykładną stałością i gorliwością prowadził. Słowniki te zaczął drukować w roku 1621, nazwawszy je słusnie Skarbem (*Thesaurus*) języków polskiego, łacińskiego i greckiego; tyle bowiem w nich jest obfitości nauk i dowodów niezmierniej wielkości pism czytanych (które przytaczane w wyjątkach i w odwoływaniu się do źródeł z kąd były czerpane), że dotąd ogromem erudycyi zadziwiają.

Do czasu Knapskiego brakowało naszemu językowi na zbiorze wyrazów, stanowiących własne jego bogactwo. Było wprowadzić przedtem kilka słowników polsko-łacińskich i odwrotnie, ale te zwać się słownikami nie były warte; nie zawierały bowiem wszystkich wyrazów, ani ich dobrze i właściwie w języku łacińskim nie wykladały, tak iż więcej krzywdy niż pożytku przynosiły. W tych liczbach są dykcjonarze: Jana Mureliusza, wydany w Krakowie 1528 roku, a w latach następnych Andrzeja Kalagiusza wrocławczyka z r. 1579, Mikołaja Wolkmara przez niejakiego Borneńczyka w r. 1605 pomnożony, który ma



GRZEGÓRZ KNAPSKI. (Rysował Łuszczykiewicz w Krakowie, podług portretu olejnego znajdującego się w zbiorze p. Ambrożego Grabowskiego.)

był sukiennikiem (w dawnych bowiem wiekach Knapski znaczyło sukiennik). Oddany do szkół jezuitów w Pultusku, wraz z dwoma braćmi swymi Janem i Stanisławem, którzy podobnież później zostali jezuitami, mając lat 19 wstąpił do zakonu. Pomimo wątłego zdrowia, poświęcając się z zapalem naukom, słuchał

wyrazów wiele wcale nie polskich, a inne tak są przekształcone, skałeczone i zepsute, iż do zrozumienia Polakowi trudne, dowodzą, że autorowi język polski był obcym. Tegoż rodzaju jest także dzieło Zbiór wyrazów jednoznacznych (synonimów), przez Łukasza Brzeźwickiego w r. 1603 wydane; Brzeźwicki bowiem rzecz

całą ze słownika Wolkmara skleił i wszystkie błędy z niego wypisał, tém więc naganny, że dokładniej rodowity swój język od Niemca znać był powinien. Nielepiej był słownik Dazypodyusza łacińsko-niemieckopolski, w Gdańsku w r. 1642 wydany, tudzież dawniejsze, Jana Mączynskiego, drukowany w Królewcu 1564 i jedenasto-języczny z r. 1598 Kalepina, licznymi wadami oszpecone, szczególnie ostatni, który zawiera i polski, ale tak przekształcony, iż wiele słów rozumiem trudno.

W takim stanie słownictwa w Polsce, nastał czas kiedy literatura klasyczna coraz mniej była znana, a filologia i krytyka całkiem gramatyką Alwara zostały uspię, znajomość zaś łacińskich pisarzy do tego tylko służyła, aby urywkami z nich pszczać ustawicznie polszczyznę, dzikiem i niesmakownym tém mięszaniem skazić oba języki. Wtedy to zabrał się do dzieła Knapski.

Z zamiarów swych i starań około ułożenia słownika najlepiej sam w przedmowie do 4 tomu się tłumaczy: „Chciałem, pisze on, rozszerzyć między ziemkami łacińskiej mowy czystość, właściwość, oraz przyzwyczajenie jej używanie, i szkołom poniekąd ułatwić sposób snadniejszego jej uczenia i nauczania się, ku czemu, za zdaniem wszystkich biegłych, uznałem być potrzebą najprzód, aby uczeń każdą rzecz po łacinie nazwać, czyli co toż samo jest, każdy wyraz polski łacińskim oddać, wszystkie słowa łacińskie nagiąć, według prawideł gramatyki ułożyć i myśl całą złożyć umiał. Przytém to miałem w baczeniu i staraniu mojem, aby już od nas wynoszącą się rodowitą mowę zatrzymać, skażoną przez miészanie łaciny oczyścić i krój narodowy i właściwy przywrócić. Bolałem, przestrzegając wzmagający się w Polsce dziki zwyczaj, który polskie i łacińskie słowa, na obcy sposób stosowane, w niesforą miészanie tak spręga, że jej ani Polak, ani łacinnik ze wszystkiém zrozumieć nie zdoła. Sądzący się na łataną łacińskimi wyrazami mowę, co do łaciny mniemają się być Ciceronami, co do polszczyzny Kochanowskiemi lub Górnickiemi, a nie są jak miészancami dzikimi i kazielami obydwóch języków. Tym to wykazałem w tym słowniku sposób, że język nasz bez tej lichy i szpetnej łataniny obejść się może i powinien.“

Była to choroba bardzo niebezpieczna; w ten bowiem sposób język polski, z upadkiem klasycznej literatury, do ostatniego przychodził skażenia. Upowszechniony w 16 wieku tak znacznie, nie mógł całkiem pojąć w zaniedbanie; zbyt wiele atoli uniesienie się ku mowie łacińskiej, podawało w pogardę polską. Niebawem poszło za tém, że obie upaść musiały.

Nikt lepiej od Knapskiego nie pojmował następstwa tego kierunku, którego obraz w ostatniém wydaniu Skarbca dosadnie mamy skreślony. „Niekórtzy Polacy, pisze on, nie poczytują tego sobie za złe, jeśli przemawiając polskim językiem, miészają wyrazy i sposoby mówienia łacińskie, i to bez żadnej potrzeby, lecz ślepo, nierozważnie. Nietylko w odezwach i pismach dłuższej i poważniejszej osnowy, które mimo uszu przechodzą, ale i w księgach drukowanych i z polskiego lub też innego na łaciński przekładać się mających; nakoniec z nieuczonymi nawet i z kobietami w powszednich rozmawiają tak posiedzeniach. Wszakże z rozsądnych Polaków żaden, począwszy mówić o czém po łacinie, nie przeplata jej polszczyzną, jakby nie w obu językach równej czystości należało przestrzegać. Zresztą nadużycie to, jak sądzę, pochodzi najprzód z przewrotnego mniemania wielu, którzy przez takowe miészanie słów cudzoziemskich tuszą zjednać sobie sławę uczonych; potem z niebiegłości w ojczystym języku, a razem płochego zrozumenia o sobie, że o każdej rzeczy mówić bez przygotowania potrafią; a tak którykolwiek nawinie im się pierwszy wyraz lub sposób mówienia łaciński, chwytają go i co im tylko do ust przyjdzie szebioczą.“ (*Thesaur. pol. lat. p.* 429).

Ze słów tych widzimy, jaki szlachetny cel powodował Knapskiego do tego ogromnego dzieła i z jaką gorliwością zajmował się ratunkiem mowy ojczystej. Lecz aby umieć należycie prace jego ocenić, potrzeba jeszcze wniknąć w sposób którym je wykonywał. Nie ograniczał się on na tém, żeby jako obcy słownik tłumaczyć lub przepisywać: czerpał ze źródła samego, tak jak gdyby nie miał nikogo przed sobą, co by mu tę drogę przetorował. Jego słownik jest jego własnym tworem. Podzielił go na trzy części: pierwsza wyszła pod tytułem *Thesaurus polono-latino-graecus, sive promptuarium linguae latinae et graecae, Polonorum usu accommodatum. Cracov. typ. Franc. Caesar. 1621*, stronic 1540 w arkusz. Drugie wydanie tego wielkopomnego słownika, znacznie od autora poprawione i pomnożone, wyszło dopiero po jego śmierci w roku 1643, w drukarni i nakładem tegoż Cezarego, który go Janowi Zamojskiemu, synowi Tomasza kanclerza i hetmana w. kor., a wnukowi sławnego Jana przypisał.

Oprócz potrzebnych wiadomości, które są w tym słowniku zawarte, autor podaje abecadłowym porządkiem wyrazy polskie, tak rodowite, jako i od cudzoziemców przejęte, z których ostatnie, jedne dla prawdziwego niedostatku swojskich wyrazów są zatrzymane, inne, po przypomnieniu starych lub po utworzeniu nowych, wywołane z używania zostały. Tak wielkie i zmusne dzieło, obejmujące 1465 stronic druku, nie mogło wprawdzie objąć wszystkich wyrazów; wielką atoli jego zasługą, że w wieku skażenia języka, sposób czystego pisania po polsku wskazało. Wydanie to jest teraz bardzo rzadkie, ponieważ dla wyborniej łaciny i obok umieszczonej greczyzny, za granicę było zakupowane. Mamy też porobione różne skrócenia tego słownika, z opuszczeniem greczyzny i frazeologii. Najdoskonalsze wyszło pod tytułem *Słownik polsko-łaciński, ze Skarbu księdza Knapiusza wydany i t. d. przez księdza Benedykta Woronowskiego pomnożony i na 2 tomy podzielony, w Kaliszu 1769 w 8ce i powtórnie tamże w drukarni prymasowskiej w 3ch tomach 1787 r. w 8ce*, drukiem jednakże złym i omyłek pełnym.

Drugi tom dzieła Knapskiego wyszedł pod tytułem *Thesauri polono-latino-graeci tomus 2us latino-polonicus. Cracov. Fr. Caesar. 1626 w 4ce*, przedrukowany po kilkakroć w Krakowie i Poznaniu. Z tych wydań najlepsze krakowskie z r. 1668, tak dla oznaczeń prozody, jakoteż i poprawności. Tom ten, najbardziej używany, pomimo rozlicznych wydań, z dołączeniem frazesów klasycznych i synonimów, wyszedł ostatni raz z przydaną niemieczyzną, pod tytułem: *Thesauri polono-latino-graeci tomus 2us latino-polono-germanicus etc. per Paulum Kollacz, Varsaviae, sumpt. Mich. Groellii, 1780 w 4ce*.

Trzeci tom Skarbca, uważany od wielu za osobne dzieło, nosi nazwę *Thesauri polono-latino-graeci tomus 3us, continens adagia polonica selecta, et sententiae morales, ac dictoria, faceta et honesta, latine et graece reddita. etc. Cracov. in off. Fr. Caesar. 1632*. Jest to zbiór używanych w owym wieku zdań moralnych i przysłów polskich, które przysłowiami łacińskimi i greckimi są wyłożone. Nie są to wyłącznie przysłowia, jak dawniejszy zbiór Salomona Rysińskiego, drukowany w r. 1618 w Lubczu, który, lubo nie tak obfity, jednak charakterem szczeropolskim i czystością je przewyższa. Knapski nie miał bynajmniej na celu utworzenia zbioru przysłów, przyjmując je tylko na dopełnienie swego słownika, którego naukę zdania moralnemi i obyczajowemi użyteczniejszą dla młodzieży chciał uczynić. Ztąd poopuszczał rażące nieskromnością i historyczne przysłowia, na obyczajowych i filozoficznych przestając. Niesłusznie przeto robiono mu w późniejszych czasach zarzut, uważając iż pożyteczniejszy byłby ten zbiór, gdyby go Knapski w ojczystym, a nie w łacińskim wydał języku, czego on nie mógł uczynić, dla utrzymania całości swego słownika, którego mniemał iż nie godziło się w innym piśmie języku. Niemniejszą atoli i pod tym względem położył zasługę, albowiem przysłowia zebrane przez niego są dotąd dla wszystkich po nim zbieraczy szacownym i przydatnym zabytkiem.

Ostatni ten tom wcale nie był przedrukowanym, dlatego że wszystkich jest najrzadszy, chociaż same przysłowia skrócone wydawano kilkakrotnie; z tych najlepsze wyszły w r. 1735 w Poznaniu, pod nazwą *Idiotismi polonici w 12ce*.

Mimo tak niezmiernej pracy której się oddawał, dożył Knapski lat wieku swego 74. Szanowany w zgromadzeniu jezuitów, wielbiony od uczniów po całym kraju, ceniony za granicą, umarł w Krakowie dnia 14 października 1638. Pochowany w kościele św. Piotra.

Kronika tygodniowa.

Pomiędzy czytelnikami naszych sprawozdań tygodniowych są tacy, którzy skarżą się na brak wiadomości brukowych i chcieliby w nich znaleźć statystykę dzienną wszystkich wypadków Warszawy.

Panowie moi, czasy ploteczek minęły; może się kiedyś wrócić, bo wiadomo że najwybitniejszą wadą naszą jest brak wytrwałości, ale to jeszcze nie tak prędko nastąpi.

Są tacy co żądają pióra lekkiego, aby choć na chwilę przy czytaniu kroniki zapomnieć mogli o codziennych dolegliwościach życia, co narzekają na zbyt moralizowanie, gdy inni, lubując się w smutku, pragnęliby przeglądy nasze w atmosferze miłej sobie zanurzyć.

Słowem wymagań mnóstwo, a wszystkim dogodzić niepodobna, prawda to stara jak świat. Najlepiej więc

będzie gdy kronikarz zostanie przy swoim, pozostawiając czytelnikom zupełną wolność sądu.

Ubiegły tydzień odznaczał się burzami. Tu i owdzie wichler połamiał młode drzewka, a starsze przygiął ku ziemi, tu i owdzie ciepły promień słońca nowe kwiaty powołał do życia.

Na naszym bruku zmiany jedynie znaczne w postępie pokładów porfiru, które sięgnęły już karmelitów; szkoda tylko że dawnych kamieni z boków nie usunięto, gdyż przy bruku nowym, stare, zużyte, zaokrąglone głązy lichy wyglądają.

A na niebie?

Na niebie świeci kometa, która swém pojawieniem się wielkiego figla wypłatała uczonym astronomom całego świata.

Grzeczni gwiazdarze są zakłopotani, bo nie wiedzą jak tę cudzoziemkę przyjąć, na jakim krześle posadzić. Zkąd przyszła, dokąd dąży, kiedy ostatni raz była, niewiadomo, a panowie Chapelas, Goldsmith, Leverrier i Babinet swojemi uczonemi sporami dają komecie brzydkie widowisko niezgody ziemskiej; ona też, urażona tym brakiem wychowania, zaczyna opuszczać świat przysłoneczny i jako żyć umiejająca, cofa się tyłem z salonu.

Dotąd wiemy o niej tylko tyle, że ogon jej sięga za gwiazdę polarną i grozi wielkiej niedźwiedzicy.

Mieszkańcy Warszawy nader są pochopni do czynienia spostrzeżeń astronomicznych, a że u nas tradycje astrologiczne nie zaginęły zupełnie, różne ztąd wyprowadzają wróżby.

Niektórem zdaje się że owa ognista gwiazda zapowiada niezawodny upadek i koniec panowania zbytku w Warszawie; innym że włączając długim ogonem po gwiazdach, przedrzeźnia zbyt długie suknie pań naszych zamiatające po bruku i przepowiadają ztąd zarzucenie tej kosztownej a szpetnej mody. Są i tacy co mniemają że pojawienie się komety jest przestroga dla tych panów, co zamiast wydatkom swym nadać kierunek zgodny z dobrem publicznym iłożyć pieniądze na podniesienie w kraju oświaty, sztuki i duchowej strony, wyrzucają je na zamorskie przysmaczki, drogie wina i krocie z dymem cygarowym puszczają w powietrze. Są wreszcie pesymisci, którzy ubrdali sobie, że kometa, to odezwa do niektórych właścicieli domów.

— Czy znów gospodarzy zaczepiasz, panie kronikarzu?

— Czy znów nudna kwestya drogości lokali wychodzi na stół?

— Czy zapomniałeś jaki los spotkał *Gazetkę* i jej autora, za napaść na właścicieli domów?

— Krzyki bez końca!

Za pozwoleniem, moi panowie. Ani myślę targać się na wasze prawa: wiem że mieszkanie to towar, każdy stara się go z jednej strony jaknajdrożej sprzedać, a z drugiej jaknajtaniej kupić. Wolno każdemu kupić lub nie, ale nikt nie ma prawa żądać zniżenia ceny przemocą. Wolno nawet kupującemu zachwalać swój towar czystym powietrzem, pięknym widokiem, różnemi wygodkami, bo to handel.

Ale znów z drugiej strony rzetelność w handlu jest koniecznością.

Wolno sprzedawać jaknajdrożej towar, ale towar dobry.

Czy znacie panowie sutereny warszawskie?

Sutereny, są to pieczary podziemne, gdzie promień słońca albo nigdy nie dochodzi, lub wciska się przez niskie piwniczne okienka, użyczając biednym lokatom skąpego światła.

W suterenach nie wilgoć, ale woda częstokroć spływa po ścianach, powietrze tam ciężkie, grobowe.

W suterenach mieszkańcy nabawiają się reumatyzmu i artretyzmu na całe życie, a biedne dziatki zabija ta atmosfera duszna.

Czytając opisy więzień podziemnych, wzdrygamy się na nie i dziwimy, że dotąd jeszcze ludzkość nie potrafiła ich usunąć; a pośród nas istnieją takie lochy, i to nie w więzieniach, ale pośrodku miasta, w domach wspaniałych, błyszczących zdala, o świetnych, zbytkowych apartamentach.

Niedawno przypadkiem z kolegą moim, pełnym zdolności lekarzem, wstąpiłem do jednej z tych jaskiń. Znaleźliśmy tam biedną wyrobnicę i dziecię jej konające.

— Jakież tu powietrze! jaka wilgoć! zawołał zgrogadzony lekarz.

— Proszę pana, tu wilgoci być nie powinno, bo dwa razy dziennie wypompowywa się woda z sionki na dziedziniec (!)

— Tego dziecięcia nic nie uratuje, rzekł mój towarzysz, zbadawszy stan choroby; ale wyprowadzaj się jaknajprędzej z tego mieszkania, bo i starsze utracisz.

— Gdzież ja się nieszczęśliwa wyprowadzę? Tu tanio, a ja nie mogę drożej zapłacić.

Przepowiednia się spełniła: w ciągu trzech tygodni druga dziecina zachorowała i umarła.

Otóż macie panowie sutereny!

Należałoby koniecznie, dla dobra ludzkości, zabójcze te jaskinie obrócić na inny użytek, na piwnice lub składy, a w nowych domach całkiem ich nie robić.

Nie posadzamy właścicieli takich mieszkań, aby z wiedzą o ich szkodliwości wypuszczali je lokatorom.

Hygiena jest u nas prawie nieznaną nauką i mało kto wie jak szkodliwie takie mieszkanie wpływa na zdrowie ludzkie. Mamy więc nadzieję że głos nasz trafi do ich przekonania, tém bardziej że wynajmując sutereny na inny użytek, bardzo mało lub wcale nie nie tracą.

Znajdą się może tacy, co twierdzić będą że po miastach zagranicznych więcej jest jeszcze suteran jak u nas, a jednak ludzie w nich mieszkają. Wszelako gdyby przeczytali tablice śmiertelności mieszkańców tych jaskiń, wyrzekliby się chętnie kilkuset złotych, okupionych zdrowiem bliznich, a często ich życiem.

Toż samo powiedzieliśmy już dawniej o owych mieszkaniach w domach tylko co zbudowanych, jeszcze nie wyschłych, a już wynajmowanych, które lokatorowie własnemu zdrowiu suszą.

Z innej znów strony wyznać należy, że nie najlepiej jesteśmy uposażeni w pomysłach wewnętrznej wygody domów i mieszkań.

Niedorzecznością na przykład jest stawianie, bez względu na kieszeń lokatorów, w każdym pokoju osobnych pieców. Zdaje nam się że to chyba na pociechę i zubożenie handlarzy drzewa i gźdunów. Przytém piece są niepraktyczne, dużo zużywają drzewa, a mało dają ciepła. Owe przesławne kuchnie angielskie, pozbawione dawnych kap chłonnących wyziewy z potraw i rozlanego tłuszczu, ileż ujmują zdrowia mieszkańcom. Niechaj w jednym mieszkaniu wykipi rosół, a już po całym domu rozchodzi się woń dusząca.

Niewielka to rzecz wyplanować piękną facyate, zdobną rzędami pilastrów, posągów, popiersi, upstrzoną rozetami i ornamentami, wewnątrz zaś nasadzić mnóstwo klitek i kliteczek, drzwi i drzwiczek, które kosztują wiele, bardzo wiele pieniędzy, a mieszkańcom nie przynoszą najmniejszego pożytku; ale sztuka wybudować dom, mieszczący w sobie wszelkie dogodności, gdzieby mieszkań poszukiwano, a lokatorowie z własną i właściciela szkodą nie potrzebowali się przewrócić co kwartał, dla szukania dogodniejszej siedziby.

Wracając do pieców, sądzimy że ci których to obchodzi, nie powinni poprzestawać na zastarzałej rutynie, ale popatrzyć co też dzieje się w świecie, jak to ludzie umiają łączyć oszczędność z wygodą za granicą, a choćby też w sąsiednich Czechach.

Uczony czeski w Pradze, Dr. Filip Kodym, redaktor pisma *Gospodarskie nowiny*, wynalazł tam ku pożytkowi współrodaków nowy rodzaj pieców.

Piece te nie są wyższe, szersze, ani głębsze od naszych komód, i nie tylko że ogrzewają wybornie, ale zajmują mniej miejsca i nawet są ozdobą mieszkań. Główną zaś ich zaletą, że przydatne są tak samo w kuchni, jak w salonie, tak w chacie wiejskiej, jak i w pałacu.

Zbudowane z kafla, nie opierają się na ziemi na grubym pokładzie ceglanym, ale wsparte na czterech nóżkach, tak skombinowane mają ciągi powietrzne, że rozgrzewają się od wierzchu aż do spodu, i gdy u nas zwykle wśród zimy dolna część pokoju bywa najzimniejszą, w Pradze ciepło rozchodzi się nawet po ziemi i nogi ogrzewa.

Piece te, od wywalaczy swego, zowią się *kodymki*, a muszą być praktyczne, skoro upowszechniły się po wszystkich miastach, miasteczkach i wioskach czeskich. Zdaje się że i dla nas mogą być równie przydatne, bo klimat obu krajów jest prawie zupełnie jednaki.

Małą mamy nadzieję, aby słowa nasze pożądaną sprawiły skutek, bo wiadomo z jaką trudnością u nas przełamują się najmniejsze trudności i zastarzałe uprzedzenia, że co warszawskie, to najdoskonalsze; jednakże, gdyby znaleźli się ochotnicy do upowszechnienia rzeczy pożytecznej i oszczędności przynoszącej, pragnąc dać dowód że na próżnych nie przestajemy słowach, postaramy się o sprowadzenie modelu kodymki z Czech i chętnie każdemu dozwolimy go w redakcyi oglądać.

Zawadziwszy o Pragę, wspomnimy cokolwiek o tamtejszym ruchu dziennikarskim. W poprzednim numerze Tygodnika mówiliśmy o rozbudzeniu ruchu literackiego przez Szafarzyka, Palackiego i Hawliczka. Ruch ten wzmacnia się coraz bardziej. Znany z pobytu przed dwoma laty w Warszawie ks. Stulc, od 4 kwietnia zaczął wydawać dziennik polityczny, pod nazwą *Pozor* (Baczność). W piśmie tém, ilekroć przyjdzie spotkać się redaktorowi z rzeczami nasz kraj obchodzą-

cemi, widać głęboką znajomość literatury i stosunków naszych. Gazeta *Narodni listy*, pod redakcją deputowanego Riegera, liczy już 6000 prenumeratorem, a poczęła wychodzić od 1 stycznia b. r. Tygodnik ilustrowany: *Obecne a naučné listy*, redagowany przez profesora Zelenego, oraz Dr. Majera i Rzezacza, przemienił się na tygodnik polityczny i wiedzy mu się wybornie. Nakoniec Encyklopedya powszechna liczy do 8000(!!!) prenumeratorem.

Patrząc na te usiłowania Czechów o nabranie oświaty i wiedząc że zaledwie półczwarta miliona ludu korzysta z owoców ich piśmiennictwa, smutkiem jesteśmy przejęci, bo nas ten naród skrętnością prześciga.

U nas, niestety, wszystko kończy się na pięknych słowach i chwilowym zapale. Brak silnego postanowienia, brak wytrwałości w powziętych zamiarach, to nasza wada, zabijająca najpiękniejsze pomysły. Rozpędzamy się i biegniemy cwałem, a gdy się troszkę tym niezwykłym biegiem umęczym, stajemy w miejscu i powoli zaczynamy iść w tył; a tak ubiegłszy naprzód sto kroków, cofamy się potem o sto dwadzieścia.

Drogi pośredniej niema, niema tej wytrwałej, cichej pracy, co posunawszy ciężar naprzód o krok jeden, ani ćwierć cala napowrót go nie puści. Nie mówimy tego wyłącznie o piśmiennictwie, ale o wszelkich pracach pomysłowości ogólną mających na celu, jak np. o oświacie ludu, o kształceniu rzemieślników, o porzuceniu zbytków i t. d.

Pamiętamy gdy przed dwoma laty zjawił się prospekt na Encyklopedyę Orgelbranda. Prospekt ten zajął niezmiernie czytających, każdy rad był że będziemy posiadać w ojczystym języku dzieło tak potrzebne wszystkim ludziom kształcić się pragnącym, każdemu co chciałby mieć pod ręką krótki zbiór wszystkich umiejętności; oczekiwano z niecierpliwością pojawienia się pierwszego zeszytu.

I ukazał się ten zeszyt, a 4000 egzemplarzy w jednym rozeszło się tygodniu. Rzecz prawie niesłychana u nas! Otóż, otrzymawszy wiadomość z Pragi, że ciągle zwiększa się liczba kupujących Encyklopedyę czeską i z 4 na 8 urosła tysięcy, ciekawi byliśmy ile też naszej te dwa lata przysporzyły kupujących... i dowiedzieliśmy się że w obecnej chwili wszystkich jest... 1600 zaledwie. Otóż to wytrwałość godna podziwiania!

Nie występujemy tu jako panegiryci tej publikacji; być może iż ma ona pewne swoje wady, iż nieco za drobiazgową i niedosć jednolitą; ale wady te można by jeszcze usunąć, a dzieło to wielkiej zawsze wartości, bo w wydawnictwie ma udział mnóstwo uzdatnionych i sumiennych pracowników. Lecz gdyby w tym stosunku malała wciąż liczba nabywców, wtedy całe przedsięwzięcie padłoby ofiarą obojętności naszej, a nie tak rychło znalazłby się ktoś, co by znowu naraził znaczny kapitał na wyraźną stratę.

Przed dwudziestą laty Glücksberg w Wilnie, wydając pierwszą encyklopedyę polską, docignął ją ledwie do litery C. Drugą dziś wydaje Orgelbrand, lecz jeżeli ta nie dojdzie do końca, z winy publiczności, to już trzeciej nikt zapewne z naszego pokolenia nie doczeka.

Kończymy nasze sprawozdanie powitaniem *Jutrzenki*, tygodnika dla Izraelitów polskich. Ze szczerem współczuciem odczytaliśmy pierwszy numer tego pisma. Artykuł wstępny, gorąco a sympatycznie napisany, wypowiada jasno czem będzie *Jutrzenka*.

Na te słowa miłości chętnie wyciągamy ku niej dłoń przyjazną, i mamy nadzieję że wszyscy literaci nasi będą wspólną pracą zasilać to pismo, na znak szczerzego zbratania.

NAGROBEK KSIĘCIA DYMITRA SANGUSZKI

W CZECHACH.

W Dziejach Łukasza Górnickiego, jeden z najobszerniejszych ustępów obejmuje sprawę Beaty z Kościeleckich księżny Ostrojskiej, przeciwko zięciowi swemu, księciu Dymitrowi Sanguszcze, staroście czeskaskiemu i kaniowskiemu, który w zawodzie rycerskim świetnie się odznaczył.

Znakomity rodem, bogactwy i zasługą, książę Elias (Ili) Ostrojski, umierając w r. 1533, zostawił z pomienionej Beaty z Kościeleckich jedyną dziedziczkę obszernych włości i grodów, Halszkę imieniem. Nie brakło na konkurentach tak bogatej dziedzicze, a między nimi pojawił się i młody książę Dymitr Sanguszek. Wkrótce przekonany o przywiązaniu swęj bogdanki, udał się z prośbą do króla Zygmunta Augusta o jej rękę, a gdy monarcha listownie oświadczył, że nie ma nic przeciw temu związkowi, Sanguszek oświadczył swoje księżnie Ostrojskiej złożył, która

je przyjęła, i prosił o pomoc rodzzonego stryja Halszki, księcia Bazylego Konstantego Ostrojskiego.

Ale matka młodej księżniczki inne miała zamiary, i sama pragnąc się wyswatać, nie rada była oddać wielkich majątności Dymitrowi; pomimo więc uroczystego przyrzeczenia, zaczęła zwłóczyć, i uzbrowwszy zamek ostrojski, strzegła go pilnie, aby niedopuszczyć tak narzeczonego, jak i jego swata, stryja Halszki.

Było to w roku 1553. Książę Dymitr Sanguszek zapowiedział odwiedziny swoje na zamku ostrojskim. Księżna Beata rozkazała zawrzeć bramę i strzelać do najeżdżającego orszaku; ale książęta Ostrojski z Sanguszką uprzedzili podniesienie zwodzonego mostu i zamek zajęli. Stryj, jako najbliższy opiekun, rozkazał przywołać księdza, i w kaplicy zamkowej Halszka z Dymitrem ślubem małżeńskim połączeni zostali.

Księżna Beata Ostrojska wniosła skargę o gwałt, wzywa krewnych i przyjaciół pomocy. Oburzenie tak wzrosło i zastępy rozniewanej matki tak silne stały, że książę Dymitr musiał się ukrywać.

Na początku r. 1554 zasiadł Zygmunt August z senatorami do sądzenia tej sprawy. Po wysłuchaniu wymownych obrońców z dwóch stron przeciwnych, król wydał wyrok, skazujący księcia Dymitra Sanguszkę, jako *najeźdźcę i gwałciciela praw matczynych*, na utratę czci i życia.

Co wpłynęło przeważnie na tak srogi wyrok, dotąd jasno nie zbadano. Nieszczęśliwy Sanguszek przebiega żonę po mężku i z małą družyną wiernych dworzan uchodzi przez Śląsk do Czech.

Szlachta polska, idąc za osnową wyroku króla, oświadczyła się niemal wszystką przeciw niemu: wysłano jego drogę i odkryto schronienie.

Sędziwy wojownik, otoczony sławą zwycięstw dawnych, mąż znamienity rodem i dostojnością, a jeden z opiekunów Halszki, Marcin Zborowski wojewoda kaliski, starosta odolanowski, przyjął obowiązek schwywania Sanguszeki.

Puszcza się w pogoń wraz z synem i orszakiem zbrojnych, i samoczwart dopędza księcia Dymitra już na ziemi czeskiej, w miasteczku Łyséj, niedaleko Pragi. Długo się bronił Sanguszek, ale raniony, uległ w końcu. Okuty w kajdany, złożony na prostym wozie wśród zimy (2 lutego 1554 r.) powieziony został drogą ku Polsce. Zborowski młodą wdowę zabrał z sobą.

Ale Czechy, obruszeni tym napadem dokonany na ich ziemi, gdy więziony przez miasto Jaromierz książę Dymitr w tajni zajazdu skończył, w skutek złamania kręgów szynowych, nie puszczili zwłok jego dalej. Nadbiegł liczny orszak zbrojnych z Polski. Zborowski zostawia trupa i sam wraca do kraju. Mieszczanie jaromierscy, wspaniały zamordowanemu księciu wyprawili pogrzeb, ciało jego pochowali w kościele farnym, pod ołtarzem rzeźnickim. Grób przykryto kamieniem, z napisami w językach łacińskim i czeskim.

Pierwszy Bartosz Paprocki, w dziele swém *Ogród królewski* (z r. 1599), podał napis łaciński; ale o czeskim, w którym postępek Zborowskiego, co przyjął na siebie rolę oprawcy, dosadnie zachowano, przemilczał, jako nieprzyjazny Janowi Zamojskiemu, z którym ród cały Zborowskich wiodł wtedy spór zacięty.

Dopiero w roku 1859 ksiądz Franciszek Petery Rohoznicki, proboszcz w Jaromierzu, odkrywając d. 19 listopada t. r. kamień grobowy nieszczęśliwego Dymitra Sanguszeki, wydał wraz z napisami łacińskim i staro-czeskim, wierny jego przerys, z którego zdjęty jest załączony drzeworyt.

Kamień ten prostokątny, w wieńcu na tarczy herbowej przedstawia wizerunek zamordowanego wojownika, w pełnej zbroi, na koniu, z podniesioną szablą. Po brzegach kamienia mieści się łaciński napis, łacińskimi literami:

„Hoc . loco . conditur . Corpus . Clari . Litvaie . Ducis . Dimitt . Saduskovic . Ex . Magnifica . Olgierdorum . Familia . Nati . Capitanei . Cyrkowienn . et . Kaniowien . Quem . Martinus . Zborowski . Trucidavit .

Nad samym zaś wizerunkiem księcia Sanguszeki i pod nim, czytamy następny w czeskim języku napis:

„Thu . lieszy . kniže . Dimithr . Sanduskowycz . Starosta . Czirkawski . y . Kaynowski . Rodu . Wyetkiego . Kniže . Lithewskie . Olgierdowca . Kthurego . Zamordował . y . zabil . nieszlachetnick . Marcin . Zborowski . Niemyawsz . Do . niego . zadny . przicinny . 1554 .“

Przedmiot sam w sobie poetyczny, dał watek dawniej J. I. Kraszewskiemu do napisania dramatu. Następnie w roku 1859 Józef Szujski ogłosił w dodatku do Czasu dramat historyczny p. n. *Halszka z Ostroga*, w którym przedstawił dalsze losy swojej bohaterki. Piękny ten utwór dał poznać w jego autorze znakomitego dramatyka polskiego.

KOŚCIÓŁ ŚW. JANA W GDAŃSKU.

Kościół św. Jana w Gdańsku, słizny swą architekturą, odtworzoną w części z malborskiego zamku, założony był, jak Curicken powiada, około 1460 roku. Data jednakże ta zbija się dowodzeniem Lorchina, który założenie jego kładzie pod 1360—1370, opierając się na historii Voigta, gdzie jest wzmianka że na kościół ten Konrad Wallenrod nałożył kontrybucyą. Świadcstwo przeto Voigta zbija dostatecznie podanie starego kronikarza, z którego dzieła rycinę tu przedstawiamy.

Napis nade drzwiami zakrystyi w staroniemieckim języku położony, mówi że kościół ten w latach 1463 do 1465 był restaurowany, zapewne z ofiar, gdyż i za kollarów wzywa o modlitwę do Boga.

Położony w bliskości Motławy, na bagnistym gruncie, ciągle rysuje się i chyli ku upadkowi; restauracye tylko częste, przez duchowienstwo protestanckie wykonywane, podtrzymują go do czasu.

W formie łacińskiego krzyża zbudowany, niegdyś bogato uposażony, ozdobił się był z kolejną lat w dzieła sztuki i piękne pogrobowe pamiątki; nieszczęsne jednak odnawianie starych rzeczy przez tynk i freskowe niby to malowidła, ogolociło go z najpiękniejszych jego ozdób. Co oszczędzą czas i barbarzyńcy, to zniszczą niedołężne budowniki, niby cywilizowani, niby nowych pojęć i pomysłów ludzie. Daj im tylko restaurować jaki kościół, a pierwszą ich myślą będzie zatarcie dzieł starych mistrzów, by na nich rozwiesić swoje świecidła i tandeciarską nieraz kramarszczyznę.

Nie mówię tu o ludziach serca i sztuki, lecz o kryjących się pod zacnem imieniem budowniczych, fabrykantach nowych pudełek na ludzi i modlitwy.

Przez ich potworny wandalizm przekształciło się u nas wiele, ba prawie wszystkie stare budowle. Tury gotyckie pomalowali na biało i żółto; przy ich w niebiosy pnących się wieżach powystawiali spiczaste głowy cukru, lub niemieckie z zabawek dziecinnych czerpane pomysły na słupki, filarki i inne niegodne sztuki prawdziwej akcesorya.

Przejdźcie Wilno, Lublin, Płock, a przekonacie się o smutnej prawdzie słów moich.

Kościół św. Katarzyny posiada ośm ładnych ołtarzy, mogących posłużyć za wzory średniowiecznej sztuki. Organ jego pamięta jeszcze początki kościoła, a powiększony i odrestaurowany kosztem Zappa w r. 1625, posiada dotąd głos mocny i miły. Tenże Zapp przy kościele św. Jana w Gdańsku założył dobrze uposażoną księżnicę.

W imieniu redakcyi Tygodnika upraszam w końcu panów budowniczych o nadsyłanie rysunków ze starych gmachów łatwo je wam, jako znawcom sztuki, oceniać i przenosić na papier, a zjednać sobie tém prawdziwą zasługę, dając nam w obrazach czysto rodzime dzieła, szczątki pozostałych w kraju pamiątek.

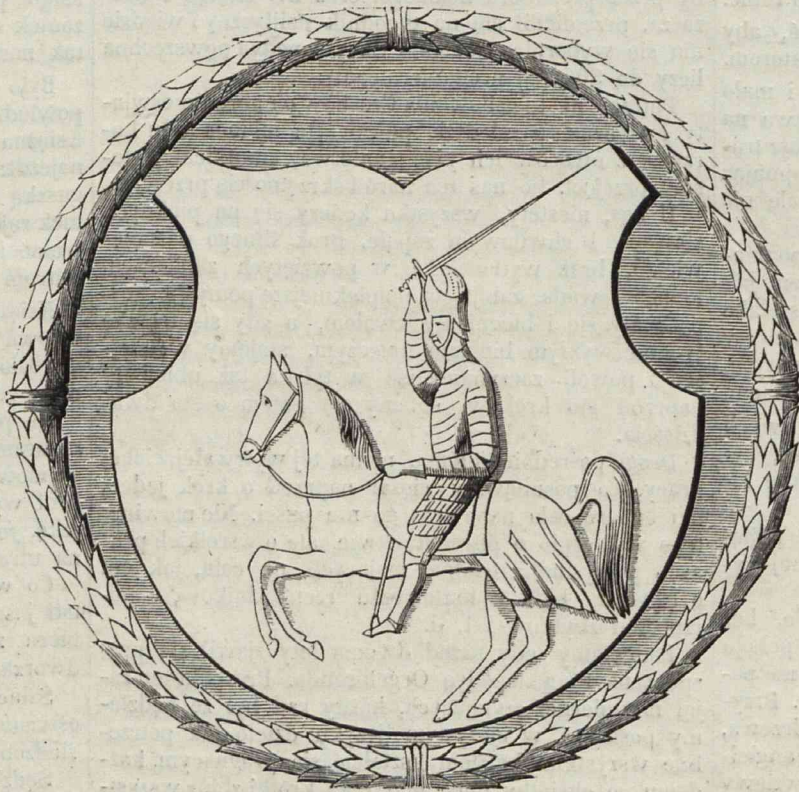
Wł. Olszewski.

NIEDZIELA.

[SIELANKA W Ach PIEŚNIACH Z NIEDAWNÉJ PRZESZŁOŚCI

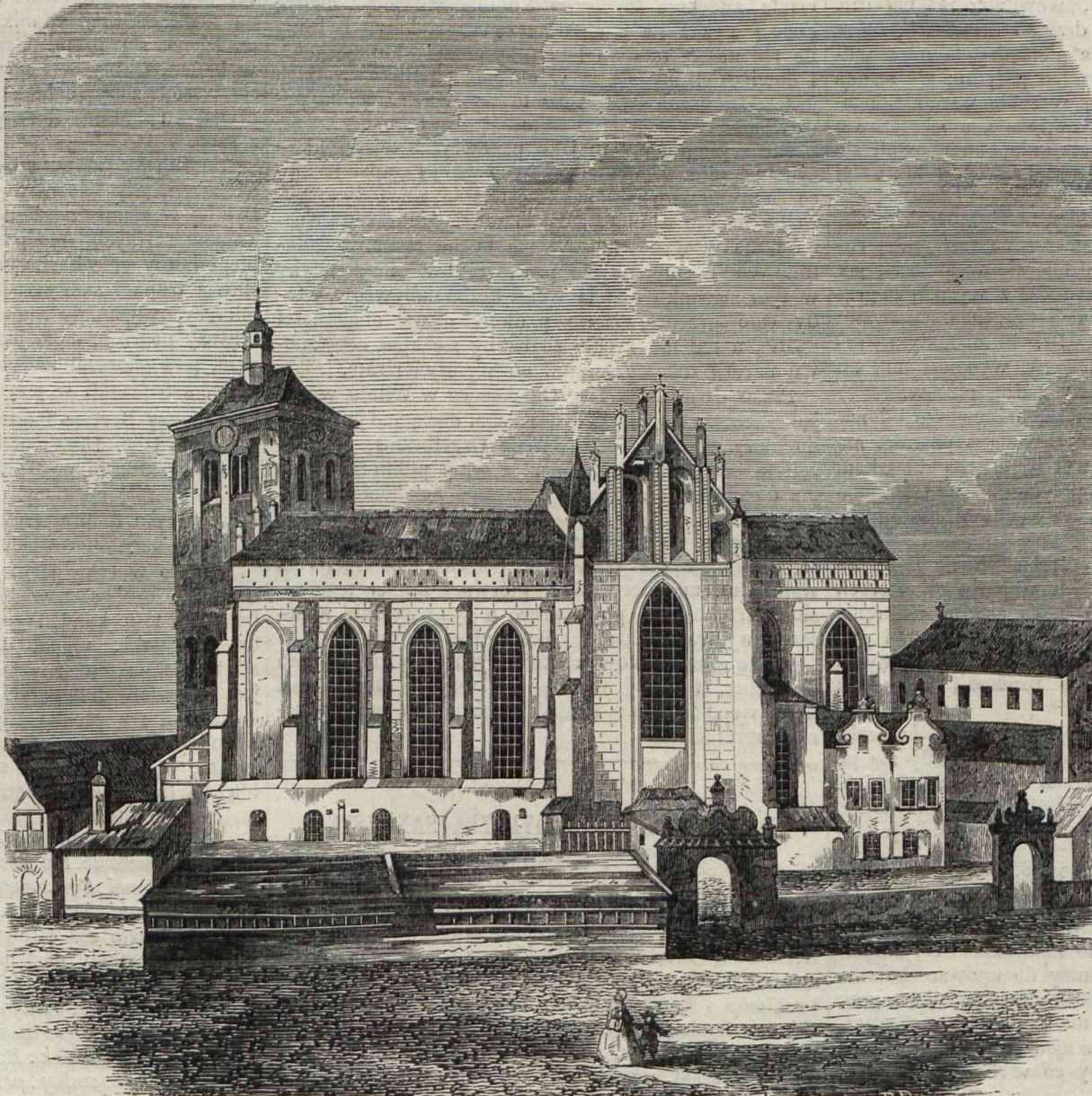
Macie cztery pieśni
Z niedzielnego dzionka,
Czasem głowa nie śni,

Co lira wybrzaka:
Och tak nienawisnie,
Och tak brzmi niemiło,
Czasem w struny piśnie,
Jak po sercu piła!



NAGROBEK KS. DYMITRA SANGUSZKI W JAROMIERZU W CZECHACH.

Lira odpowiada:
„A pocóż mam duszę?
„Co mi wiatr nagada,



KOŚCIÓŁ ŚW. JANA W GDAŃSKU. (Rysował Podbielski, podług dzieła Curickena.)

„To wybrzakać muszę.”

I. PORANEK.

Spuściła się z góry
Święta niedziela,
Z za różowej chmury

Słonko wystrzela.
Wiatr kołysze kłoski
Zielonej niwy,
Lata w koło wioski
Anioł zycielwy,
I łąkom gdzie kwiatki
Wieści udziela:
„Radujcie się dziatki,
Dzisiaj niedziela!”

Trawka pełna rosy
Czeka na stada,
Ryczy w niebogłosy
Oborka rada.
Sute, dzięki Bogu,
Pastwisk obszary;
Trąbi w trąbkę z rogu
Pastuszek stary;
Za wsią sterczy z drzewa
Krzyż Zbawiciela,
Ptaszek na nim śpiewa:
„Dzisiaj niedziela!”

Pod Jankową chatą
Skrzypi kolasa,
Dziatwa, czując lato,
Po dworze hasa.
A Janek otwiera
Zamek śpichlerza,
Na targ się wybiera,
Zboże odmierza.
Już i żniwo blisko....
To go ośmiela
Jechać w targowisko,
Bo dziś niedziela!

Licha gospodarka,
Grosza potrzeba,
Nie zostało ziarnka
Na bochen chleba.

Żona nie ma soli,
Suszy mu głowę;
Drobna dziatwa woli
Książeczkę nową.
Toż to gościńcami
Ich poobdziała!
Dzieci! pan Bóg z wami,
Dzisiaj niedziela!

Na wóz Janek wsiada,
Konia zacina,
Bieży za nim rada
Dzieci drużyna!
Mimo sielskie wrota
Minął krzyż klusem....
A dziatwa szczebiota:
„Z Panem Jezusem!”
Mówią pięć pacierzy
Do Zbawiciela,
Modły idą szczerzej,
Bo dziś niedziela!

Gdy dzieci lży ronią,
Schyliwszy czoła,
Anioł Pański dzwonią
Z wieży kościoła,
A jak dzwon uderzy
Świątym wyrazem,
To i puhacz z wieży
Jęczy z nim razem.
Kto nocną brzydotę
Jęczyć ośmiela?
Świeci słonko złote,
Dzisiaj niedziela!

II. POWRÓT JANKA Z TARGOWISKA.

Jestem sobie podpily,
Jedna czarka dla siły,
Druga z ręki sąsiada,
Czyż odmówić wypada?
Poszła trzecia i czwarta,
Ot zebrała się kwarta,
Ot i w głowie już świta.
Hej, pal koniu z kopyta!

Na bok pany, bom pjaný,
Wstyd wam mojej su-
[kmany;

Lecz Jankowa sukmana
Nie bywała skalana.
Wy o waszej sajecie
Czyż to samo powiecie,
Kiedy Pan Bóg was spyta?
Hej, pal koniu z kopyta!

Stoi karczma przy drodze,
Pyknąć lulkę zachodzę;
Człowiek węgle roznieca,
A tam szatan z za pieca
Daje znaki wciąż głową:
„Wypij! będzie ci zdrowo!”
Posłuchałem i kwita,
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzycz czy nie krzycz tam żono,
A jeść będziesz niesłono!
Niechaj cierpi nieboga,
Sól być musi za droga.
Coś mi z głowy wyleci
Kupić książkę dla dzieci;
Co tam dziecko wyczyta?
Hej, pal koniu z kopyta!

Choćby umiał czytanie,

Z których grzech nasz i nędza?
Ej, urosło ich tyle,
Że aż dziesięć na milę.
Krwia płacimy ich myta,
Hej, pal koniu z kopyta!

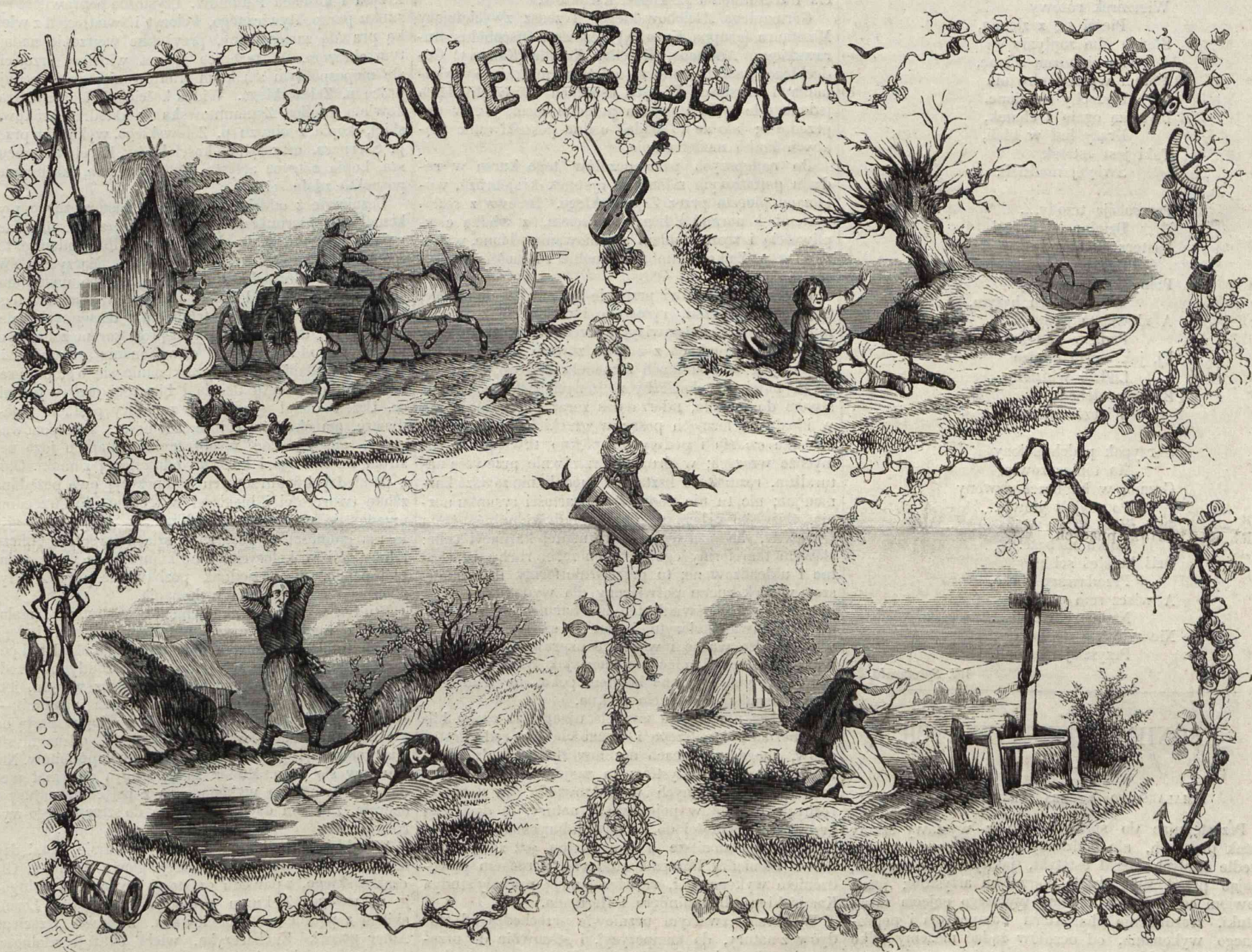
Ot i wioska... snadź nasza,
Konia nęci już pasza,
Targnął wozem tak srodze,
Żem się zwałił na drodze.
Trudno powstać, bo ciemno,
A czart stoi nademną,
Klaszcze w dłonie i zgrzyta...
Koń sam pobiegł z kopyta.

III. LAMENT PANA ARENDARZA.

Janek!... Spił się jak bela,...
Jak zabity śpi w rowie.

Konie, kozy, barany,
Sztuk dwadzieścia się zbierze,
I mam kontrakt pisany
Na kosztownym papierze.
Kontrakt pisze w tém słowie,
Węzłowato a krótko:
„Wszyscy moi chłopowie
„Tu upiją się wódką.“...
Jak ja pijanych napoję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Pisze dalej tak srogo:
„Niechaj każdy pamięta,
„Nie wyjmując nikogo,
„Baby, chłopcy, dziewczęta,
„Żaden z chłopów — broń Boże,
„I to w żadnym już względzie.
„Pić gorzalki nie może,
„Tylko w swojej arendzie,



NIEDZIELA, (skomponował i rysował Kostrzewski).

Toć chłop chłopem zostanie;
Sześć dni w pracy gnie szyje,
W siódmy dzień się upije.
Więc za przykład pokuty
Zdadzą chłopą w rekruty,
Kapral pleców dopyta,
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzyż przy drodze... tu stanę...
Nogi chwieją się pjane...
Przebac Chryste! jam ciemny,
Bój z szatanem daremny!
Któż mi głowę oświeci?
Kto zapewni los dzieci?
Przyszłość ciemna, zakryta,
Hej, pal koniu z kopyta!

Grzmi... błysnęło w oddali...
Piorun w sosnę gdzieś pali...
Czemuż karczmy oszczędza,

Prawda—dzisiaj niedziela,
Czarka, druga, na zdrowie.
Tobie zdrowia przybędzie,
Ja mieć będę grosz w zysku,
Lecz tyś zamiast w arendzie
Spił się na targowisku!
Tyś mi ukradł co moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czy nie złodziej? no proszę...
A ja z czego żyć będę?
Jan z kieszeni skradł grosze,
Przecież płacę arendę:
Tysiąc złotych gotówki,
Głowę cukru z napaści,
Muszę karmić dwie krówki,
Żonę, dzieci dwanaści;
Czyż ja poły odkroję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

„Bo zapłaci we troje.“
Gwałt, ratujcie rozboje!

Czytaj co tu pisano!
Lecz chłop głupi, nie czyta,
Jadąc na targ dziś rano.
Miałeś miarki dwie żyta,
Miałeś jeszcze ćwierć grochu,
Warto złotych dwadzieście,
Jużci pijąc po trochu,
Mogłeś przepić coś w mieście,
Już ja o to nie stoję,
Choć to gwałty, rozboje!

Ale resztę... to znowu
Przebij u mnie na zgodę,
Ja wydzwignę cię z rowu
I do karczmy zawiodę.
Wstawaj! zbierz się na siły,
Pokaż kieszeń!... no proszę...

Ach ty chłopie opity!...
Ukradziono mu grosze,
Toż ja liczył jak moje.
Gwałt, ratujcie, rozboje!

No!... co robić? przygoda...
Jużby lepiej to przepić...
Mnie samemu cię szkoda,
Warto ducha pokrzepić.
Janek! Janek! ty słaby,
Wypij kwarty z połowę,
Nie idź do twojej baby,
Naturbuje ci głowę,
Ty jej oddasz za swoje,
Będą gwałty, rozboje!

IV. WIECZÓR.

Opuściwszy głowy,
Kwiatki już drzemią,
Wieczorek różowy
Pieści się z ziemią,
Słońce nim zapłynie
Za chmurną ścianę,
Złotem wprzód obwinie
Strzechy słomiane.
Błyszcza ogień z chatek,
Kraży lud w bieli,
Taki jest ostatek
Świętęj niedzieli.

Powracają trzody...
Dzielne jej harce!
Pasterz siwobrody
Gra na fujarce;
Polny konik brzęczy
W podskoku hyżym,
A niewiasta jęczy,
Padłszy pod krzyżem.
Ej, jak cierpi srodze
Ludzie widzieli,
Bolesny niebodge
Wieczór niedzieli.

Skrzypak podchmielony
Na taniec zowie,
Grzmiały w kapliczce dzwony
Po czyjś głowie....
Dziś mnie, jutro tobie,
Janku nieboże!
Dziś hulaleś sobie,
Przedawszy zboże,
A wieczorem czeka
Na mary wzięli....
Nie wie kto doczeka
Przyszłej niedzieli.

Wł. Syrokomla.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO, RZEŻBA, ARCHITEKTURA.

Przystępując do sprawozdania z wystawy szkoły sztuk pięknych, nie będziemy oceniać prac uczniów wedle ścisłych zasad estetyki, jakbyśmy to uczynili, mając przed sobą dzieła dojrzałych artystów; jeżeli bowiem od artystów żądamy wyższego pojęcia zasad sztuki, zrozumienia charakteru kompozycji i poprawnego wykonania, od uczniów żądać możemy tylko wierności w oddaniu wzorów, czystości rysunku, oraz instynktowego uczucia piękna, bądź w naśladownictwie, bądź w pomysłach oryginalnych.

Z pomiędzy licznych studyów rysowanych z gipsu, w kursie pierwszym wydziału malarstwa zauważaliśmy kilka głów z antyków, wykonanych ze zrozumieniem modelowania i charakteru. Tyber i Milon, Golańskiego; Aleksander Sewerus, Wrześniewskiego, oraz studya pejzażowe z wzorów, tychże uczniów, a szczególnie Golańskiego, okazują niezwykłą, jak na początkujących, wprawę. Komarnickiego ornamenta, rysowane z wzorów, mają ważną zaletę czystości wykonania.

Widząc w tych pracach wstępnych taką staranność i zrozumienie rzeczy, już z pewnym zajęciem przechodziliśmy do prac kursu drugiego, i oczekiwanie też nasze nie zostało zawiedzione. Sumiennność i staranność wykonania, wyższa tu istotnie o cały rok pracy.

Rysunki anatomiczne z modelu gipsowego (écorché) Skindera, wiernie i ze smakiem wykonane, ułatwiły trudności, jakie miał napotkać w oddaniu ciała ludzkiego; nie zdziwiliśmy się też wcale, że ten młody artysta tak dobrze się wywiązał z rysunku pochyłonej naprzód figury gladiatora, biegnącego wprost na

widza. Wykonanie torsu świadczy dobitnie, jak wiele odniósł korzyści ze zrozumienia anatomii, kiedy go z taką energią i miękkością wykonać zdołał; nie możemy wszakże powiedzieć tego o dolnej części figury, chociaż znać tu raczej brak dostatecznego wykończenia w cieniowaniu, aniżeli słabe zrozumienie skurezu. Figura Sylena z Bachusem na rękę i Torso belwiderski, Strzałeckiego, odznaczają się niezwykłą poprawnością; widać w tych studyach zrozumienie piękności antyku, szczególnie w śmiałym i miękkim oznaczeniu mięśni ciała, oraz w szerokim traktowaniu mass światła i cieniów. Rysunek Sylena zbliża się do równowagi siły i miękkości, którą napiętnowane są piękne posągi greckie; szkoda tylko że p. Strzałeczki nie zdołał pochwycić harmonii w całej figurze i wykonać wszystkich części z równą dokładnością, jak prawe ramię, tors i prawą nogę Sylena, inne bowiem części nie zlewają się dostatecznie w jedność. Pomimo to w rysunkach tych wiele jest uczucia i zrozumienia piękności kształtów.

Germanicus Mścichowskiego, Tezeusz zwyciężający Minotaura (grupa Kanowy) Tesmera, Discobalus Rurawskiego, Antinous, Katylla, Kupido (Kanowy) Godeckiego, nacechowane są zaletami miękkiego wykonania i czystości. W tych ostatnich studyach niema jednak tyle życia i pojęcia pełności form, jak w poprzednich; ale za to widać usilne poszukiwanie pięknych linii i modelowania.

Do najlepszych prac uczniów tego kursu w rodzaju pejzażowym zaliczamy rysunek krajobrazu, wykonany piórem przez Zajkowskiego. Drzewa z rozłożystymi konarami i bogatym liściem, z wielką cierpliwością i zrozumieniem stopniowania oddane, wykazują w p. Zajkowskim niepospolite zdolności do sztycharstwa.

Kurs trzeci stanowi przejście od antyku do natury, Studyta tego kursu, rysowane i malowane z natury, inny zupełnie przedstawiają i przedstawiać muszą charakter. W rysunkach z antyku zawsze więcej jest interesu, jak w rysunkach z modelu żywego; w pierwszych bowiem, chociażby zbliżonych tylko podobieństwem do modelu, uderza nas zaraz piękność złożona w idealnych formach posągów greckich, a pracę rysownika ośłania i podwyższa piękno tkwiące w samych wzorach; w drugich przeciwnie przeważa naturalizm, rozmaitość kształtów modelu nie zawsze harmonijna; nie tu nie podwyższa wartości rysunku ucznia, wszystko polega na pojęciu indywidualnego życia i prawdy, na pochwyceniu rozmaitej karnacji ciała: słowem tam formy ogólne, skończone, ruchy szlachetne i uidealizowane; tu przeciwnie formy najrozmaitsze, wdzięk ruchu poświęcony dla wydatności pojedynczych części, światłocien nie harmonijny z powodu poszukiwań kolorytu, i dlatego studya te, jakkolwiek bardzo ważne i w nauce usprawiedliwione, dla widza nie mają i mieć nie mogą jak tylko pośrednie znaczenie; pokazują one bowiem pokonane trudności, a nie zaspakajają uczucia piękna.

Wszakże musimy tu zwrócić uwagę, że osoby bliżej obeznane z potrzebą i ważnością tego rodzaju studyów, mogą w pracach uczniów śledzić budzące się zalety przyszłych artystów; tu znajdują odcienia usposobień indywidualnych w traktowaniu, tu dopatrzą różnych odcieni w pojmowaniu natury, tu dostrzegą przeważne zdolności do kolorytu lub rysunku, słowem poznają najrozmaitsze a samodzielne już zalety uczniów. Pomiedzy licznymi studyami z różnym powodzeniem wykonanymi, najwięcej mają prawdy studya Kamińskiego, Buchbindera i Hermana.

W kursie czwartym uczniowie przechodzą od studyów z natury, do kompozycji, i stosownie do przebiegających zdolności, obierają sobie specjalne rodzaje malarstwa, to jest: historyczny, perspektywiczny i pejzażowy, nie pomijając wszakże ogólnych wymagań szkoły. Pomiedzy utworami tego kursu odznaczają się prace p. Pinko, a mianowicie: kompozycja obrazu przedstawiającego św. Franciszka. Figura świętego wyobrażona jest w chwili modlitwy; głowa wzniesiona do góry ma wiele szlachetności i słodczy, rysunek staranny, koloryt i światłocien, doprowadzony do pewnej harmonii, nadają tej całej figurze wiele wyrazu i wydatności. Zalety samodzielności jakie tu spostrzegamy, wróżą iż p. Pinko w zawodzie artystycznym daleko zająć może. Widok na zamek królewski w Warszawie, zdjęty z natury przez tegoż artystę, poprawnie jest namalowany. Dwa widoki z okolic Kalisza, z natury wykonane przez p. Redlicha, jakkolwiek nie dosyć wystudiowane w szczegółach, mają jednak zalety perspektywy powietrznej. Ruiny zamku, kompozycja pejzażowa Grossa, przyjemnym odznacza się kolorytem. Z licznych i w ogóle dobrych prac pejzażowych jakie na wystawie widzieliśmy, najwięcej zalet artystycznych mają widoki z natury, malowane przez p. A. Świeszewskiego, mianowicie widok Kra-

kowa malowniczo przedstawia się z punktu który artysta sobie wybrał. Góra Koszysta w Karpatach, przyjemnie uderza oko powietrznym oddaleniem i rozmaitością planów; chmury jednak, przerzynające dalekie wzgórza, niespokojne i za ciężkie, zakłócają harmonię całości. Widok doliny Kościelisko, jakkolwiek przedstawiał wiele trudności do pokonania, jednakże artysta wywiązał się z nich dosyć szczęśliwie. Obraz ten ma wyraz smętny, właściwy tamedznej naturze. Przód obrazu przeciwnie wiele pozostawia do życzenia pod względem pojęcia szczegółowych części. P. Świeszewski ma zapał i uczucie artystyczne, potrzeba mu tylko sumiennych studyów, któreby wyjaśniły i podwyższyły to, co dostał z góry, a nie przyjdzie mu to z wielkim trudem, przy tak sumiennym nauce, jaką mu dać może doświadczenie artystyczne pr. Breslauera.

Z rodzaju perspektywicznego, będącego pod kierunkiem p. M. Zalewskiego, szczególnie odznaczają się prace Wyszyńskiego, a mianowicie: wnętrze kościoła św. Krzyża i kościoła Paulinów. Czystość i poprawność rysunku perspektywicznego, koloryt i światłocien z wielką prawdą zastosowany, przyjemne wrażenie nadają tym obrazom. W technice nawet widzimy przejście się niepospolitym smakiem traktowania, jaki cechuje prace p. Zalewskiego. Widok kościoła P. Maryi w Krakowie i kaplica Zygmuntowska w katedrze krakowskiej, kopia z obrazu p. Zalewskiego, wykonana przez p. Szernera, oraz widok kościoła św. Karola Boromeusza, kopia z tegoż artysty przez Hermana, okazują niepospolite zdolności.

Uczniowie z oddziału malarstwa historycznego, wykonali pod kierunkiem pr. Hadziewicza i Kamińskiego cztery kompozycje na patent, podług zadanego tematu: Dziarkowski św. Andrzeja ap., Mączyński św. Pawła ap., Górnicki Judasza dręczonego wyrzutami sumienia, Pawłowski śmierć Judasza. W tematach tego rodzaju, z natury swojej trudnych i dostępnych zaledwie doświadczonym artystom-profesorom zadającym te temata, nie idzie tyle o wykonanie odpowiednie ważności zadania, jak o przekonanie się o stopniu samodzielności talentu ucznia i biegłości jego w technice. Uczeń dotąd studyujący z natury postacie pojedyncze, ma okazać twórcze zdolności, skomponować obraz, mogący dać wyobrażenie o stopniu jego nastroju duchowego i korzyści odniesionej z nauki. Otóż z pomiędzy konkursowych kompozycji ową pożądaną zaletę twórczości i biegłości w technice spostrzegamy przeważnie w p. Dziarkowskim. Św. Andrzej ap. wiele ma godności w postawie, szlachetności w obliczu i harmonii w kolorycie. Inne kompozycje, chociaż słabiej pojęte, nie są jednak pozbawione uczucia artystycznego i staranności wykonania.

Studyta tak zwane akademickie, rysowane i malowane z modelu żywego, przez p. Müllera, byłego ucznia tutejszej szkoły, a obecnie ucznia akademii petersburskiej, bardzo wiele mają zalet. Studium przedstawiające człowieka trzymającego miecz w rękę, jest wykonane z gruntownym zrozumieniem anatomii; drugie, przedstawiające człowieka z ręką wspartą na głowie, utrzymane w pełnym świetle, odznacza się siłą kolorytu i wyborem rozumieniem półtonów. Nie dziwimy się że p. Müller za te studya otrzymał medale, bo w istocie wykonane są z pojęciem natury i energią, zaletami dającymi prawo do szczególnego wyróżnienia.

W oddziale rzeźby na pierwszym kursie, pomiędzy studyami modelowanymi z gliny, głowa Apollina, Olczakowskiego, z powodu czystości wykonania zasługuje na uwagę. Z kursu drugiego Aryadna p. Łozińskiego z poczuciem modelowana. Z kursu trzeciego Amor grecki, Kucharczyka, wiele okazuje zdolności w pojęciu piękna form. Z kursu czwartego płasko-rzeźba Laokoona, wykonana przez p. Szachowskiego, jakkolwiek niedosyć wykończona, jednak ma zalety szlachetnego ruchu, który odznacza to znakomite klasyczne dzieło.

Uczniowie drugoletni czwartego kursu wykonali dwie kompozycje na patenta: p. Rüger Chrystusa przy słupie, p. Kucharzewski Gedeona. Żaden z tych utworów, ściśle biorąc, nie nosi na sobie cechy właściwej kompozycji, albowiem trudno tu dopatrzeć jedności, jaka powinna spajać myśl z formą. Chrystus p. Rügera intencją zbliża się do przeprowadzenia tego koniecznego warunku kompozycji, ale go nie wypełnia. Postawa tej figury nie jest bez pewnego wdzięku, chociaż nazbyt po grecku pojęta, przypomina kształty Apollina. Pomimo to jednak całość jest dosyć przyjemna i bez wad rażących. Ze względu na trudność zadania, p. Rüger okazał wiele zdolności w wykonaniu tej figury. Gedeon p. Kucharzewskiego wystawionym jest z mieczem w rękę, po spełnionym czynie, czyli odniesieniem zwycięztwie nad Madianitami; obok niego stoją szczątki pogańskiego ołtarza, przez nich ku czci Baala wzniesionego. Widzimy że

symbolika, czyli właściwe godła, są tu zachowane; ale jakież jest wejrzenie natchnionego od Boga męża, który odrzucając władzę jaką mu dawali Izraelici, rzekł: „Nie ja, lecz Bóg jest Panem waszym.“

Nie żądając wcale od tak młodego jeszcze artysty wypełnienia idealnego wyrazu oblicza i majestatu, czynnej godności, jaka powinna cechować podobną figurę, pragnęlibyśmy przynajmniej widzieć jeżeli nie duchowe, to przynajmniej materialne usiłowanie w tę stronę skierowane, a mianowicie więcej charakteru w całości, typ wschodni, draperią z godnością zarzuconą, której wcale niema, i bardziej rozwinięte formy ciała, odpowiadające sile fizycznej, jaką, podług podania, odznaczał się Gedeon. Pomimo wszakże takiego ograniczenia naszych wymagań, dopatrujemy w tej kompozycji tylko staranne studium, ze znajomością form ciała ludzkiego wykonane.

Prace uczniów oddziału budownictwa mniej zwykle zwracają na siebie uwagę osób zwiedzających wystawę, sam przedmiot bowiem nietylko jest przystępnym i nie obudza tej ciekawości, z jaką patrzymy na posagi i obrazy oddziału rzeźby i malarstwa. Tu rysunek jest tylko małą częścią i niejako symbolem pracy teoretycznej, ściśle naukowej, którą uczeń wprzód musiał odbyć, nim przyszedł do zrozumienia kombinacji linii martwych na pozór, a nabierających życia dopiero przy pomocy wyobraźni. Niemniej jednak godnymi są uwagi te rysunki, co przedstawiając same tylko martwe kształty, bez żadnej dramatycznej sytuacji i bez wdzięków kolorytu zapożyczanego od natury, właściwie powinny być umieszczone w oddzielnej zupełnie sali, gdzie nie potrzebowałyby znosić trudnej dla siebie rywalizacji z obrazami.

O pracach uczniów tego oddziału musimy sąd swój zamknąć wyłącznie w granicach ścisłej nauki technicznej; nietylko więc idzie tu o indywidualne usposobienie ucznia, ile raczej o metodę według której rozwijane są jego zdolności.

Pod tym względem też głównie zwrócili uwagę naszą pracę uczniów 1go i 2go kursu. W rysunkach tegorocznych widzimy zasadniczą zmianę odróżniającą je od lat poprzednich, i sądzimy iż zmiana ta wpłynie korzystnie na postępy uczniów budownictwa. Jakkolwiek bowiem elegancja rysunku i subtelne wykończenie drobnych szczegółów, dają pewną wprawę rysunkową, ważniejszym jednak daleko jest dokładne zrozumienie wszelkich części wchodzących w skład planów. Mechaniczna wprawa w rysunek architektoniczny jest prostą stratą czasu, jeżeli jej nie towarzyszy dokładne zrozumienie wzoru; rysunek tu powinien być właściwie tylko objaśnieniem i utrwaleniem w pamięci teoretycznych zasad, opierających się na stałych podstawach. Ten właśnie kierunek widocznym jest w tegorocznych rysunkach 1go i 2go kursu, które nie odznaczają się wprawdzie subtelnym naśladowaniem sztychów z jakich były kopiowane, lecz za to widocznym jest, że każdy szczegół, nim został przeniesiony ze wzoru na rajzbret, był wprzód dokładnie zrozumiany i ze zrozumieniem powtórzony, a nie kopiowany na ślepo. Ten sposób nauczania najwydatniej daje się widzieć przy studiach z nauki cieniowania, gdzie każdy szczegół objaśniony jest wykreśleniem matematycznym. Prawda że taki sposób prowadzenia nauki przedstawia bardzo wiele pracy dla nauczyciela, lecz pożytek jaki uczniowie z tego odnoszą jest widocznym. Dlatego też szczerem uznaniem oceniamy pracę pana Wolińskiego, nauczyciela rysunku architektonicznego, i zachęcamy go do wytrwania na tej mozolnej drodze.

W wyborze wzorów do kopiowania widzimy również zwrot do ujednolajnienia nauki, to jest do wprowadzenia wzorów klasycznych, co także jest bardzo pożądanym; nie ulega bowiem wątpliwości, że w nauce budownictwa jedynie i wyłącznie tylko na zasadach stylu klasycznego mogą się rozwijać zdolności ucznia i zabezpieczyć go od zbroczeń niesfornej często fantazyi. Byłoby bardzo do życzenia, żeby szkoła posiadała więcej takich wzorów, jak plan łaźni Caracalli, skopiowany przez p. Wyrebowskiego, ucznia drugiego kursu, gdzie wpatrując się w mistrzowską kombinację linii i grupowanie kształtów, uczeń może nabyć zdrowych zasad do przyszłych swoich kompozycji. Pomiedzy rysunkami architektonicznymi głównie odznaczają się czystością i dokładnością roboty: w kursie pierwszym prace pp. Jentysa i Jaworskiego, w kursie drugim zaś pp. Wyrebowskiego, Kulczyckiego i Dziekońskiego.

W kompozycjach uczniów czwartego kursu, wykonanych pod kierunkiem p. Podczyńskiego, znać usilną pracę i zapatrywanie się na dobre wzory. W dość trudnym projekcie domu narożnego ze sklepami, na placu nieforemnym, zręcznie obmyślane plany i elewacje wcale udatne, dają dobrą wróżbę

o zdolnościach pp. Plebińskiego, Siennickiego, Kossakowskiego i Eckerkunga.

Na konkurs ostateczny dla uzyskania patentu, uczniom kończącym szkołę dostało się w tym roku jedno z najwyższych zadań budownictwa, projekt kościoła katolickiego. Oglądając te projekta, słyszeliśmy przeróżne zarzuty czynione i kompozycjom, i samemu zadaniu: zadanie zdaje się wielu osobom zbyt wielkiem na siły budowniczych kończących dopiero szkołę; na ten zarzut więc chcielibyśmy choć kilka słów odpowiedzieć. Prawda, że wzorowy projekt kościoła, taki projekt któryby na europejskim konkursie mógł stanąć, jest to wysokość do jakiej rzadko bardzo zdarza się dosięgnąć budowniczemu, po długiej nawet pracy. Jeżeli więc z takiej wyżyny zechcemy sądzić prace uczniów, to bez wątpienia będziemy zmuszeni przyznać, iż zadanie przewyższało ich siły. Ale czy dlatego, że po pięciu latach nauki uczniowie nie są w stanie tworzyć dzieł doskonałych, mamy zamknąć przed nimi przybytek sztuki i ograniczać ich samymi tylko drobnymi projektami utilitarnymi? Więc kiedyżby się w nich obudziły prawdziwie artystyczne zdolności? pewnie nie wtedy, gdy wszedłszy w praktyczną fazę swojego zawodu, zewsząd będą nawoływani do materialnego pożytku, poczynając od właściciela budowli, który będzie chciał mieć dom jaknajtaniej postawiony, aż do ostatniego pacholka, który im będzie na każdym kroku stawiać kwestye procedury, a nikt się o sztukę nie zapyta. Tak jest, w szkole i tylko w szkole można przyszkoleniu budowniczemu przypiąć te lkarowe skrzydła, które go mają później unosić nad prozą jego zawodu i osładzać mu tysiączne przykrości. Zadanie projektu kościoła uczniom wychodzącym ze szkoły, woła na nich przy wyjściu: „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga!“ Szkoła kształciła cię na to, żebyś był kiedyś artystą, nie rzemieślnikiem! Prace konkursowe uczniów, w ten sposób uważane, przekonywają nas, iż szkoła nadała im zdolnościom kierunek właściwy, kształcąc ich na wzorach klasycznych, których przypomnienia są tam widoczne. Gruppowanie motywów i ogólne zarysy kształtów zewnętrznych, świadczą o dość już wyrobionym smaku; plany, lubo nie odpowiadają wszystkim warunkom perspektywy, posiadają jednak właściwe zalety co do podziału naw i ustawienia filarów. Głównie zaś zwrócił uwagę naszą projekt p. Braumana, dający dobrą wróżbę na przyszłość o zdolnościach autora.

L. B.

PODKAMIEŃ.

W odległych wiekach okolice w których dziś leży Podkamień, były główną siedzibą pogańskich Polowców, którzy z czasem wytopieni lub do innych krajów wyparci zostali. Stało się to w końcu XII wieku, a zaraz z początkiem XIII apostołowie chrześcijaństwa, dominikanie, na wysokiej skale, wśród gęstych lasów, na miejscu obalonych pogańskich bałwanów, obrali sobie siedlisko i wzniesli drewniany kościółek, pod wezwaniem Bogarodzicy.

W roku 1234 Grzegorz IX papież potwierdził fundacyą dominikanów podkamienieckich; ale chciał Bóg, aby pierwsze kroki apostołów wiary świętej na tej ziemi, uświetniły się męczeństwem. Nadeszły straszne czasy na Polskę: w dziewięć lat po założeniu klasztoru w Podkamieniu, nastąpił pierwszy wylew tatarskiej dziczy na Ruś Czerwoną. Cieniste bory nie osłoniły drewnianego kościółka i klasztoru przed oczyma barbarzyńców: ogień zniszczył kościół i klasztor, a miecz pogański przelał krew przeora Urbana i 42 zakonników.

Podanie głosi, że ze wszystkich mieszkańców klasztoru został przy życiu tylko jeden stary zakrystyan, który ukrył się w skalach. Patrzył na zniszczenie kościoła, na śmierć zakonników i zanosił gorące modły do Boga, aby choć on jeden mógł pozostać i opowiedzieć ludziom co zaszło w Podkamieniu. Tymczasem horda rozłożyła się w bliskości i nie myślała przenieść się dalej, a starcowi w jego kryjówce głód i pragnienie dokuczały. Szczególniej nie mógł znieść pragnienia, bo z głodem, jako nawykły do ostrych postów, dawał sobie radę. Gdy tak modlił się do Boga o pomoc, nagle przed nim na skale stała jakaś niewiasta w bieli, z twarzą promieniącą świętością. Wstąpiła pociecha w jego serce, bo sądził że cud ten znaczy oddalenie się Tatarów. Jakże się zdziwił, gdy w miejscu gdzie święta niewiasta ukazała się, ujrzał w skale wyłoczoną stopę, a w niej czystą jak kryształ wodę. Spragniony poskoczył ku tej krynicy, a choć pił aż do ugaszenia pragnienia, wody nie ubywało. Tak pogrążył się codziennie, aż do oddalenia się Tatarów, a gdy ta kara Boża przeszła, idąc od wioski do wioski, od miasta do miasta, opowiadał o jawieniu się świętej niewiasty i o owej wycisniętej stopie,

w której nigdy wody nie ubywało, a niewiadomo z kąd się brała na skale.

Lud zaczął się gromadzić do świętego miejsca, czerpać wodę z cudownej krynicy, znajdować ulgę w cierpieniach. Ale 220 lat ubiegło, a nie znalazł się człowiek, któryby klasztor w tym miejscu odbudował; wystawiono tylko małą kapliczkę i w niej pielgrzymujący lub sąsiedni kapłani odprowadzali czasem nabożeństwo. Dopiero Piotr Cebrowski z Żabokruk, dziedzie Podkamienia, wystawiwszy obronny zamek i miasteczko, umyślił zbudować tu wspaniały kościół, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, Krzyża św. i świętych apostołów Piotra i Pawła i zamiar swój w roku 1464 do skutku doprowadził. Arcybiskup lwowski, Grzegorz herbu Strzemię, sam zjechał na poświęcenie kościoła, oddał go kapłanom zakonu św. Dominika i akt fundacyi wraz z dwoma kapłanami, Janem z Winiar i Pawłem Niemierzą z Boryszowa, podpisał.

Wyroki jednak Boskie naznaczyły temu miejscu powtórną straszną klęskę. W roku 1519 Tatarzy, napadłszy na Ruś, Podole i Wołyn, zamek, kościół i klasztor w Podkamieniu do szczętu zburzyli i spalili, a spadochierca pierwszego fundatora, Wincenty Cebrowski, nie miał ani chęci, ani możności podźwignąć z gruzów fundacyi swego rodzica, bo Podkamień odprzedał królowi Zygmuntowi I, a tylko wyrobił sobie prawo zastawu na lat 48, które po przetrzymaniu lat 4½, odstąpił Marcinowi Kamienieckiemu, wojewodzie podolskiemu. Żona Kamienieckiego, Sienińska, podkomorzanka przemyska, wystawiła kościół w Olesku, jako w obronniejszym miejscu, a Podkamień poszedł w zapomnienie, i gdyby nie pielgrzymki wiernego ludu, który kilka razy do roku gromadził się w okolicy cudownej krynicy, byłby może nie powstał z gruzów. Następni właściciele, Daniłowicze, processowali się z dominikanami o grunta, wodzili się po sądach, zyskiwali kondemnacy, aż wreszcie sprzedali całe dobra Aleksandrowi Cetnerowi, który miał za sobą Annę Zamojską, córkę Wacława, kasztelana lwowskiego.

Zacna i bogobojna ta niewiasta, którą lud biedny swoim aniołem opiekuńczym nazywał, uprosiła u męża, że przyrzekł kościół w Podkamieniu wzniesić, a dla jego obrony zamek podźwignąć i murami otoczyć. Podanie miejscowe daje następny powód odbudowania kościoła w Podkamieniu. Baltazar Cetner, który za rycerskie sprawy, na wystawienie się Jana Zamojskiego, hetmana w. kor., chociaż Szlżak, indygenat polski otrzymał, z Kurzańskiej, siostrzenicy St. Żółkiewskiego hetmana, miał syna Aleksandra, dzielnego rycerza, który pod Cecorą dostał się do niewoli tureckiej. Młoda jego żona, Anna z Zamojskich, blizka krewna Tomasza Zamojskiego, kanclerza i hetmana w. k., nie mogąc długo powziąć żadnej wiadomości o mężu czy żyje i gdzie się znajduje, a rozpaczając po jego stracie, postanowiła odbyć pieszo podróż do cudownego miejsca w Podkamieniu. Jakoż gdy po gorących modłach wracała do domu, spotkała pielgrzymą wędrującego z ziemi świętej, który jej powiedział, że przechodząc pod wieżą Jenikalfy, usłyszał głos:

— Starcze, jeżeli idziesz do Polski, powiedz moim krewnym, że ja tu żyję i jęczę w niewoli. Jestem Aleksander Cetner, chorąży podolski.

Można sobie wyobrazić, jaką radością wiadomość ta przejęła serce żony: zebrała cokolwiek znaczne sumy i posłała je na wykup więźnia, a gdy wrócił zdrowy, ślubowała uroczyście odbudować kościół i klasztor w Podkamieniu.

Pomimo jednak obronnych murów i utrzymywanej straży, ilekroć tatarskie zagony groziły Rusi, obraz cudowny z Podkamienia odwożono do Brodów, i dopiero gdy ustały wszelkie z tej strony obawy, Antoni Cetner, starosta korytnicki, wspólnie z Michałem Potockim, wojewodą wołyńskim, umyślił obraz łaskami słynący ukoronować i zamiar swój w dniu 15 sierpnia 1727 r. przyprowadzili do skutku. Naoczny świadek tej uroczystości, Franciszek Pułaski, w dziełku swoim *Krótką anotacyą sejmów* pisze: „Trzeciego dnia, nad samym kościołem, apparui na niebie korona czerwona w obłokach, podobna właśnie tej, jaka jest na obrazie cudownym, i trwała blisko godzinę. Na co wszystek lud zgromadzony na odpust i wojsko o pół mili obozem stojące patrzyło.“

Obszerniejszy opis tej koronacyi, dajemy tu podług broszury drukowanej we Lwowie roku 1728.

„Na prośby Augusta II, senatu polskiego i ojców św. Dominika prowincyi ruskiej, konferował papież Benedykt XIII korony cudownemu obrazowi Najsw. Panny w Podkamieniu. Odebrał je na Watykanie od kongregacyi rzymskiej jw. Antoni Cetner, starosta korytnicki, a gdy się zbliżał dzień obrzędu, na 15 sierpnia 1727 r. naznaczony, ruszył z dalekich ziem i z poblizszych części kraju lud niezliczony; zaproszeni listami senatorowie, książęta, dygnitarze, urzędnicy

i inni udzielnici panowie, z wielkimi dworami zjeżdżać się poczęli.

„Było całe miasteczko napełnione, cała góra Rożan-cowa pospółstwem okryta i pola zastąpione. Pod wioską Nakwaszą stanęły obozem cztery chorągwie husarskie, ośm pancernych, regiment dragonii, regiment infanterii, chorągiew węgierskiej piechoty, chorągiew grenadyerów j. o. księcia Wisznio-wieckiego, kanclerza litewskiego, i 56 armat, oprócz klasztornych. Nadeszły potem z wielką apparencją kompanie ze stołecznego miasta Lwowa, z Kamieńca podolskiego, Lachowic, Konstantynowa, Zbaraża, Dubna, Tarnopola i innych, wota Najśw. Pannie ofiarując. Były witane od zakonników perorami, od wojska huczną dział rezonancją, od kapeli melodyą.

„W wigilię koronacji, zwyczajem polskiej swady, witał j. w. Ceter j. w. koronatora Bogusława Rupniewskiego, biskupa łuckiego, którego odebrał od niego korony, odprawił wjazd solenny na górę takim porządkiem: najpierw szły karety poszostne wzdłuż wojska od wsi Nakwaszy aż do bram tryumfalnych, przez pół mili rozłożonego. Jechało niemało senatorów, panów świeckich i prałatów duchownych. Osobliwie jegomość ksiądz Wyhowski, biskup greckiego wyznania łucki, jegomość ksiądz Ożga, biskup kijowski, jegomość ksiądz Stanisław Hozyusz, biskup kamieniecki. Za nimi j. w. koronator, w asystencji chorągwi rycerstwa polskiego, różnych kompanii i bractw różnych, a j. w. fundator, na koniu drogo przybranym, z dworem swoim.

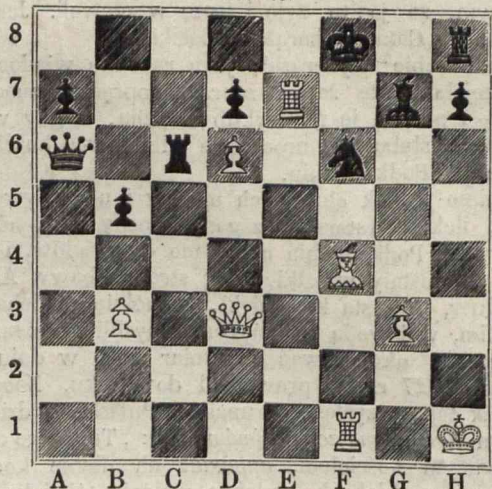
SZACHY.

ZADANIE LXXII.

(S. R. w Warszawie.)

Białe zaczynają i dają mat za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 71.

Białe.

1) G2 — H1

Czarne.

wieża H4
koniem F3
wieża F8
laufrem B5
koniem B8

H6 — G4, lub
E3 — F4 biorą + i mat
E3 — D4 + i mat
H6 — F7 biorą + i mat
B6 — C4 + i mat
B6 — D7 biorą + i mat.

„Wyszedszy naprzeciwko, zakonnicy wprowadzili j. w. koronatora, przy burzącym z dział uderzeniu, przy muzyce, pod kolumnę niemalym sumptem j. w. Stanisława Leduchowskiego, wojewody wołyńskiego, wystawioną, gdzie korony na pięknie adornowanym tronie lokowano. Przywitany tam należytą perorą i

godniową oktawę, przy takimże applauzie i asystencji, odprawiało się nabożeństwo, odprawiały się teologiczne dysputy. Jeden dzień nie folgował drugiemu w apparencji światła, fajerwerków, ognia z armat i ręcznej strzelby.

„Ostatniego dnia przybyły z bogatą apparencją kompanie z Żółkwi, Wiszniowca, Krzemienica, Brodów i innych. Po zakonkludowanych ostatnich niesporach, po processyi, j. w. koronator zaczął hymn: *Te Deum laudamus*, po którym dał ludowi swoje pasterskie błogosławieństwo, i cały akt zakończył. Podczas tej uroczystości rozdano między pobożnych 108,880 komunikantów. Na wystrzale wyszło prochu 500 kamieni.“

Dotąd Podkamień słynie szeroko łaskami, które na lud wierny w tym miejscu spływają, a woda w onej świętej stopie na skale nigdy nieprzebrana, choć wszyscy ją czerpią, a nikt nie wie z kąd przybywa.

Podkamień leżał dawniej w województwie wołyńskim, w powiecie krzemienieckim, teraz w Galicji, w cyrkułe złoczowski. Miasteczko nieźle zabudowane i dość ludne, utrzymuje się głównie z odpustów, które corocznie po kilkanaście tysięcy ludzi zgromadzają.

Ant. Wien.

PODKAMIEŃ (Rysował z litografii Podbielski).

odpowiedziawszy poważnym stylem, prosekował swój ingres do bazyliki, okrzykiem trąb, rezonancją organu i słodkim śpiewem pozdrowiony. Złożywszy koronę między drogie depozyta, j. w. koronator, poprzedzony infułami, kanonikami i 40 klerykami, zapalone pochodnie niosącymi, na tronie pasterskim nieszpory prosekował. Po niesporach 378 zakonników św. Dominika śpiewało litanie. W nocy illuminacye, ognie tryumfalne na wieży kościelnej, na basztach, na bramach tryumfalnych, na gankach i oknach. Fajerwerki, race, szmermele, bomby, młynki, ogniste fontanny.

„Ledwie dzień poczęło, zabrzmiało po lasach, namiotach, po polach i domach częste strzelanie i nabożnych piosnek śpiewanie. Spowiednicy po konfesyonałach, inni kapłani w bazylice i w kaplicy, gdzie na kamieniu są stopki Najśw. Panny, sakramenta administrowali. O godzinie 8 zakon, perorą ks. przeora Żółkiewskiego, upraszał o wydanie koron, poczem j. w. koronator kazał powoli odczytać dekret świętej rzymskiej kongregacyi i oddał korony w ręce przewielebnych przeorów lwowskiego i kamienieckiego. Przy podziękowaniu dawano burzące ognie, przy głosnej kapeli. Potem j. w. koronator, wprowadzony do bazyliki, po serdecznej kontemplacyi, skłoniwszy głęboko skronie swoje, koronami od jww. biskupów sobie podanymi, pierwój skronie cudownego obrazu Najśw. Panny, a potem skronie Jezusa, własną ręką uwienzył i klęcząc, woniejąc kadzidłem oddał trybut.

„Patrzącemu ludowi wielka radość lży z oczów wy-ciskała. Jedni serdecznie wzdychali, drudzy w zadumieniu i świętej kontemplacyi zostawali. Nasłuchać się było, jako podczas tych ceremonij od hucznych wystrzałów cały kościół i okna drżały, jako się muzyka ze swemi melodyami popisowała, jako ludzie hucznym głosem wiwaty intonowali. Hojną ręką rozdawano medale srebrne i złote, z abrysem cudownego obrazu. Podczas summy miane było panegiryczne kazanie, z niemalym plauzem i ludzi zbudowaniem. Po kazaniu solenna po cmentarzu processya, po której j. w. koronator dał ludowi swoje pasterskie błogosławieństwo.

„Wyszedszy z kościoła, zacni goście zasiedli do stołu, w refektarzu i w zamku j. w. fundatora hojnie zastawionego. Nieszpory solennizował j. w. koronator, z taką samą apparencją i asystencją. Przez całoty-

SOBÓTKI.

II.

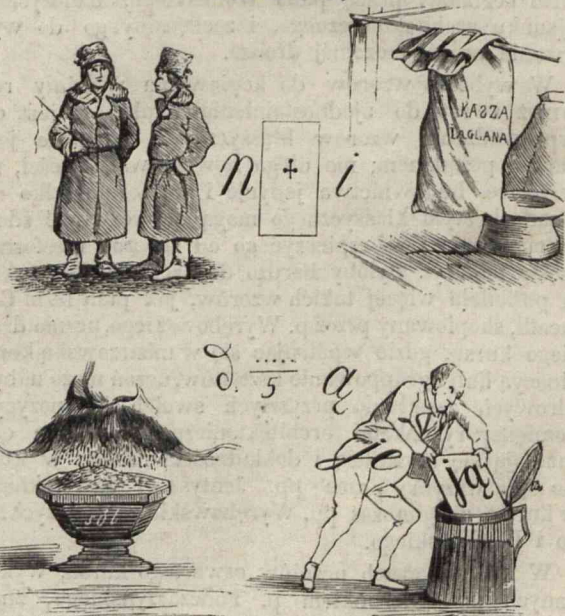
Zwyczaj z czasów przedchrześcijańskich palenia ogni sobótkowych, przetrwał w wielu okolicach starodawniej Rzeczypospolitej w całej świeżości swojej. Nigdzie wszelako tak poetycznie i uroczysto nie odbija, jak w Karpatach i w Tatrach węgierskich.

Nigdy nie zapomnę tych uroczystych nocy, kiedy do świtu dnia białego patrzyłem na płomieniste stosy, przysłuchiwałem się wesołemu okrzykowi i pieśni ludowej.

Góry wieńcem opasywały widnokrąg; wraz ze zmrokiem i zachodem słońca, jak błędne ogniki, nagle za-

(Ob. Dod.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 93.

Gdzie wyrasta paproć i dziewanna, pytanie czy tam posag ma panna.

(Dodatek.)

częły przebliskiwać na ciemnym tle lasów bukowych i świerkowych ogniska; po kroplicznej rosie spłynęła pieśń sobótkowa, z wtorem kobzy góralskiej.

Ogniska buchają coraz szerszym i wzniolejszym płomieniem; zdają jak cienie przesuwają się postacie ludzkie, to zawodzące kołem w około nich, to pojedynczo przeskakujące stosy płomienne.

Po północy, kiedy zorza przeświatać zaczynała, bladej coraz więcej ogniska i powoli zagasły: dym lekki jak mgła wskazywał ich ślady. Umilkły kobzy, a z brzaskiem dnia po kropkach tej samej rosy, co wyschnie dopiero pod skwarą płomienia słońca, płyną odgłosy ligawek i fujarek *juhasów*, co pastuszą przy trzodach owiec, na wysokich poloninach.

Seweryn Goszczyński, długi czas spędziwszy pomiędzy karpacczymi górami, w poemacie swym *Sobótka*, tak nam wedle ich podań maluje starodawny obchód. (Ziewonia. Noworocznik A. Bielowskiego, Lwów 1834 r.)

„Zachód mgły coraz śniegi *hal* poślaca,
Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka,
Ale na *wyżni* rośnie gwar i praca,
Pnie się ku górze święty stos wspinały.
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
Zatkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Spiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chrust suchy,
Człotych górali głównie rozżarzyli,
Rozkołysali, chrustem upowili,
Podzielił raz silnymi podmuchy.
Grają płomyki, jak żądła węzowe,
Wyrzają co chwila z ogniska paszczęki:
Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
Na niższych zrazu czepia swe sztandary,
Oblata kłody, wyziera przez szpary,
A jad pod korę zapuszcza tymczasem..
Aż gdy zranione drzewa zapiszczały
I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
Ogień wzdułż stosu posunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi
I już panuje całej okolicy.
Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski;
Na bór, daleko, spadła śmów zasłona;
Młodzież góralska, od płomieni przedsza,
Stoi już, w koła tańczące spleciona,
Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
Dziewice w kwiatkach, chłopcy z długim włosiem,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,
Wszystko to na raz uderzyło głosem
I grzmotnym krokiem do tańca sobótki.
Szerzej i jaśniej płaszczy ognia monarszy
Przejrzyste polę w około rozkłada.
W osobnym tłumie zebrali się starce:
Głos ich poważny, roztropna biesiada,
A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.
Z nimi matrony i dzieci zasiadły,
I czujne kundle przy nich się układały.
Dokoła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala
A każdy głosną opasany zgrają.
Pół widne kształty za kształtami leca:
To cma, to blaskiem, jak płynąca fala,
Płaczą się koła, ogniska mrugają,
Polyska w ogniu topór tańca, a
I zjęczny skoczek ogniem się przemyka.“

Ten sam nasz piewca inny obraz nam maluje *Sobótka* czyli *Kupały* na Ukrainie, kiedy główny bohater poematu дума o szczęśliwej przeszłości, i przywodzi sobie na pamięć dawne wspomnienia.

„Albo ten wieczór, ten ogień *kupały*!
Po zwierzciadlaniej Bielezryi wodzie
Mkną się rybackie z kagańcami łódzie;
Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
Błękitna fala sypała kryształę,
Szum sosen mruzał piosenkę żegluga,
Muzyczną miarą uderzały wiosła.
Cytł płomieniami rozgorzał brzeg drugi,
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła.
We mgnieniu oka ucichli żeglarze;
Złożyli wiosła: czołna w okrag płyną,
Już w *oczeretach* syknęły gadzina.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze,
A tanecznicę, migającym cieniem,
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
Wtém zaczajona młodź nagle wypada:

Nebaba huknął: zdrada, siostry, zdrada!
Już po bałwanie! z wianków oberwany,
Złamany leży! — Skończyły się tany,
Ucięto śpiewy, a mściwe dziewczęta
Całusem karzą śmiałego natręta.“

Obrzęd sobótek między ludem mówiącym narzeczem polskim, a używającym narzecza ruskiego, różnił się, że w czasie obchodu *kupały*, przed rozpaleniem ognisk sobótkowych, używano kąpieli rzecznej. Zwyczaj ten pobudził J. S. Bandkiego do mniemanja, jakoby kąpało miało nazwę od ruskiego *kupel* (kąpiel), lubo uczony czeski filolog Dobrowski wyprowadza go od słowa *kupa* (stos).

Z pieśni ludowych tak polskich jak ruskich, w których ślady wyraźne świętości pogańskiego obrzędu religijnego zostały, widzimy, że palenie stosów łączono z kąpielą wodną: niewiasty wiejskie przed wschodem słońca wybiegają na łąki, ciągną po zroszonej trawie płóciennę płachtę, które w domu wykrczają, a rosę tym sposobem zebraną chowają pod nazwą „*świętojańskiej rosy*“. Rosą taką twarz umyta, ma nabierać osobliwszej piękności i wdzięku.

Przed zapaleniem ognia sobótkowych, wieśniacy i niewiasty idą szukać ziół do tego obchodu przywiązanych, jak: bylicy (*Artemisia vulgaris*), łopianu (*Aretium lappa*), dziewanny (*Verbascum*), kupalnicy (*Ranunculus acris*), macierzanki (*Thymus vulg.*), które mają mieć moc potężną, leczącą wiele chorób. Z nich *bylica* używana była na plectenie wianków, które mi korowód dziewoi wiejskich, śpiewających przy ogniu sobótkowym, przystrajał głowy i przepasywał się przez ramiona.

W okolicach gdzie tradycja czerstwiejsza doszła, ułożony stos na wybranym wzgórk, podpalano ogniem z dwóch suchych drzew przez tarcie dobytym. Wziawszy się za ręce młode parobczaki z ulubionymi bogdaniami, tańczą w około śpiewając dawne pieśni i parami przeskakując płomień. Jeżeli parze takiej podczas skakania ręce się nie oderwą, biorą to za dobry znak i rokuja sobie wzajemne małżeństwo. W przeciwnym razie nie dzieli dalszych zabaw *kupały*, lecz wracają smutni do domu, wróżąc sobie nieszczęście i przyszły rozdział. W innych stronach z przeskakiwania przez ogień wyciągają przepowiednię dłuższego lub krótszego życia.

W Czechach znany tenże sam obrzęd i zwany jak u nas *sobótką*; Słowacy w Węgrzech nazywają go *sóbótki*, *wajanwo*, *wajanok*, lub *świętojański oheń*. Serbowie uroczystość tę zwą *Iwanie*, od imienia św. Jana.

Wielu najdawniejszych kronikarzy i pisarzy podali, że *kupało* u jednych był bożek pogański, u drugich bogini, sam zaś obrzęd jednoznacznie opisują, jak go nam odmalował Jan Kochanowski. Ditmar, merseburki biskup, zmarły około r. 1020, mówi o górze *Sobótce*, że była w czasach pogańskich uważana za świętą przez mieszkańców czysto polskiego rodu. Że góra ta wzięła nazwę swoją od święta sobótek, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, tym więcej że mamy ślady, jak na niej stosy w dzień oznaczony zapalano. Górę tę, położoną o pięć mil od Wrocławia a dwie od *Świdnicy*, Niemcy przewalili po swojemu *Zobtenberg*, a miasteczko u stóp jej położone *Zobten*. Wörbs, w podróży swojej do gór szląskich, podaje, że wynalazł miejsca ołtarzów niegdyś pogańskich.

Niektórzy z badaczy widzą w tym obrzędzie wyraźne zabytki najstarożytniejszego bałwochwalstwa, oddawania czci ogniovi, jednemu z najważniejszych żywiołów świata.

W sto lat blisko po Janie Kochanowskim obchodzono w całej Polsce tak samo jeszcze sobótkę, jak ją ten wieszcz w swoim *Czarolesiu* opisał.

Kacper Twardowski (*Bylica świętojańska*. Lwów 1630) maluje nam gromady wiejskie, spieszące na ten obrzęd, a przystrojone w *bylicę*. Zapalano stosy drzewa świerkowego; dudarze przygrywali przez noc całą; beczka piwa na murawie stała; nie brakło i jada, a drużynie całej przewodził *włodarz* czyli wójt.

Tę *Bylicę*, jak Syreniusz pisze (Zielnik 1613), którą dotąd wieśniacy chaty swe i zabudowania gospodarcze przystrajają od *Zielonych świątek* do końca czerwca, przypisują ochronę od gusiel, czarów i szataństwa. Noszona zaś przy osobie, chroni ją od jadu złego zwierza, gadziny, odpędza uroki, a nawet sprawia, że słońce swym upałem szkodzić nie może. Godnym jest uwagi że, jak zauważał sumienny badacz Wawrzyniec Surowiecki (*Siedzenie początku Słowian*, str. 88), w starożytnym narodzie *Keltów*, dla sprowadzenia deszczu, niewiasty zbierały naszą *bylicę*, po keltycku *bilisa* zwaną, i takową rzuciły na wodę.

Na *Białej-Rusi*, w przeddzień świętego Jana po zachodzie słońca, wbijają kół drewniany w ziemię, okla-

dają go słomą i pakulami konopnemi, a na wierzchu wiążą pęk słomy, zwany *kupała*. Zapalony stos ten obiega mnóstwo przystrojonych wieśniaków i wieśniaczek, a rzucając nań brzoźowe gałęzie, wykrzykują: „*Kob mój lon tak wielki buw, jak hetaja farasina*.“ (Żeby mój len tak wielki był, jako ta brzezina).

Dotąd w wielu okolicach Polski obrzęd sobótek ta wiara jedynie utrzymuje, że osoba przytomna paleniu sobótki przez rok cały bólu głowy nie dozna; bylica zaś na to się opasują, aby ich przy żniwach krzyże nie bolały.

Antoni Nowosielski (Marcinkowski) tak opisuje dzisiejsze na Ukrainie sobótki. (*Lud ukraiński*. Wilno, 1857. Tom I).

„Po większej części dzieci tylko same dochowują jeszcze tej starej pamiętki. Wieczorem, nad źródłami, rozpalają ogień, przy których chłopcy i dziewczęta śpiewają piosenki *kupałne*, w których wszelki ślad pierwotnego znaczenia zatarty został. Dziewczęta ustrojone w wieniec z rozmaitych ziół, skaczą przez rozniecone ogniska, parami trzymając się za ręce. Zład ciągną wroźby. Jeżeli jakiej parze, w czasie skakania przez ogień, ręce się nie rozejdą, jest to niezawodnym znakiem, że obie dziewczyny wyjdą za mąż w ciągu tegoż roku. Po spaleniu ognia, biegną do rzeki, kąpią się i puszczają wieniec na wodę, z czego także ciągną rozmaite wroźby. W innych miejscach zabijają wierzbę w ziemię, a na jej gałęziach zawieszają wieniec, w około których dziewczęta, trzymając się za ręce, tańczą i śpiewają pieśni.“

W tajemniczym związku z ogniami sobótki, jest cudowny kwiat paproci, o którym liczne podania lud nasz zachował. Kwitnie jedynie o samej północy, w wigilię św. Jana. Kwitnieniu temu towarzyszy silne trzęsienie ziemi, świsł burzy, łomot piorunów, przy błyskawicach i grzmotach straszliwych, oraz przy śmiechu złych duchów. Niema śmiertelnika, któryby potrafił dotrzymać tej okropnej chwili. Powieść ludu mówi, że zbłąkanemu gospodarzowi ze wsi, wpadł przypadkiem w kurpie łyczane on cudowny kwiat paproci. I zaraz stanęła mu widna i jasna przyszłość: dojrzał w ziemi skarby ukryte, ale ponieważ nie wiedział że ma go przy sobie, przyszedłszy do domu, rozsuwszy się z kurpi, kwiat zagubił. I znowu jak dawniej przyszłość okryła się nieprzejrzaną dla niego zasłoną, a o skarbach zaklętych i ukrytych zapomniał.

K. Wł. W.

Kronika półroczna.

Z za Buga.

—Widzieliście mgliste obrazy?

Owóż wiarogodne sprawozdanie z sześciomiesięcznego życia w parafii między Bugiem a Dnieprem, zupełnie owe mgliste obrazy przedstawia.

Styczeń, ledwo załamał się w kilka wybitniejszych rysów, już one zaczęły omdlewać i przekształcać się na lutowe linie. Te zaledwo wyciągnięte, już się w łuki i esy zgięły i spletały w horyzonty marca. Horyzonty marcowe mgnienie jedno trwały i rozpierzchły się w kwietniowe pajęczyny, wnet przedzierzgnięte w oblicze maja, które natychmiast ogorzało w gorące czerwca tony.

Słowem ze sześciomiesięczny afisz życia naszej parafii, mógłby nosić tytuł: *dissolvent theatre*. Przedstawienia jego krótkotrwałe, a jednak bilet wejścia sto kilkadziesiąt dni życia kosztuje.

Prawdziwie trudno powiedzieć, co czas ubiegły przyniósł albo uniósł z sobą, a jednak musiał jedno lub drugie uczynić, bo parafia tak się zmieniała, tak niepodobna do siebie, że własny pudelby jej nie poznał.

Nie pytajcie mnie o powody: trudno je odgadnąć. Wprawdzie w styczniu były kijowskie kontrakty, sprawiedliwie jarmarkami zwane; ale one co rok bywają, a zresztą jarmark wpływu na zmianę mieć nie może. Owszem, im więcej przemysłowych zapust i odpustów, tym wszystko stał się: codzienność kryształizuje się w pomnik, kamienieje. Tylko że przy tym pomniku nikomu na myśl nie przyjdzie anioł pański odmówić.

Więc nie kontrakty zmieniły parafię.

Gdzież zatem przyczyna? bo jużci skutku bez niej zrozumieć nie można.

Otóż, nim do przyczyny dojdziemy, zobaczmy jak wygląda skutek.

Skutek bardzo wygląda szczęśliwie: widoczny on w ogóle fizyognomii prowincjonalnej i w każdym jej

rysie oddzielnie. Prowincja na pobieżny rzut oka wygląda jak wielkie mrowisko: wszyscy rzucili się do pracy. Charakterem odrębnym od lat poprzednich, jest owa zobopólna czujność między wszystkimi na siebie. I dawniej byli pracownicy, ale wolno było i nie pracować; dziś opinia publiczna nie pozwala na to. Gospodarstwo stało się pracą, gdy dawniej wyglądało na wyzyskiwanie. Urzędy stały się pracą, a mówię tu o urzędach wyborowych, gdy dawniej były żartem, w którym przeżartowywało się najczęściej majątek, zachowanie u ludzi i pocziwe nieraz imię. Projekta społecznych urządzeń są dziś pracą, i prze myśl nawet na pracę wygląda, gdy dawniej był tylko rodzajem wytrycha, najbezpieczniejszego, bo uprawnionego. Stosunki społeczne noszą cechę zatrudnienia, gdy dawniej zapelniały się *pronuncyacją* paryżką, dystyngowanym zbiorem wysokich osób, piękną manierą i w najlepszym razie niewinnym poceniem się społecznym w tańcu, lub filantropią kanapkową i salonową.

Każdy dziś tak w naszej parafii inaczej wygląda, iż zdaje się szukać takiego, co by go mógł jemu samemu zaprezentować i z nim samym poznać.

Dawne powagi, które mogły tylko rosnąć w próżni, dziś miejsca dla siebie znaleźć nie umieją; za głowę się biorą własną i za serce, w nich tylko znajdując doskonałe warunki swego bytu.

Mężczyźni spowazniali, niewiasty wypiękniały narzeczcie. Pana trzeba szukać ze świecą; damy na lekarstwo trudnoby znaleźć. Matki, żony, narzeczone, równie czule ale bardziej wymagająco patrzą na syfiów, mężów, narzeczonych. Działwa nawet nietyle strofowań wymaga. Gdy tak potrwa, sądzimy że dzieci nowonarodzone przychodzić będą na świat z rączkami gotowymi do pracy, lub złożonymi do modlitwy.

Bez zaprzeczenia człowiek ton całej otaczającej go naturze nadaje. To też przy zmianie, ludzi i ziemia parafii naszej zmieniła się całkowicie. Drzewa spieszą z rozwinieniem liści, trawy szmerzą inaczej, wody płyną zmarszczone, jak czoła w zadumie; błękit nieba jak jedno niebieskie Opatrzności oko; wszystkie głosy natury zrozumiałej mówią do ludzi; harmonia we wszystkim, wyteżenie sił wszędzie do rozwoju, do wzrostu. Cienie nawet przezroczyste się stały. Wszystko zdaje się modlić czynnie.

Tak zanotowawszy zmianę oblicza prowincji, nim przyjdzie do powiedzenia przyczyny, zostaje nam jeszcze uznać, jak to mówią o młodych mężatkach, czy na *awantaż*, czy na *dezawantaż* ta zmiana?

Bardzo na *awantaż* i do twarzy; wypiękniała parafia, aż miło.

Czy pamiętasz, czytelniku, ów wiek swój młody, kiedy ci pierwszy raz serce do życia, zatem do miłości uderzyło. Cudowna była kochanka twoja. Ujrzałeś ją raz pierwszy na balu. Weszła świetną, sama jak kwiat, z kwiatami w ręku. Sto słońc zabłysło. Wiosna wionęła wszystkimi rokoszami na ciebie. Nigdy nikogo cudniejszego, nigdy ję już piękniejszą nie zobaczę, szeptało twe serce, zwierając się duszy z pierwszych uderzeń swoich. I zdało ci się że nigdy ję już więcej, silniej, gwałtowniej nie ukochasz, jak w tym objawieniu śród światła, harmonii, kwiatów, uśmiechów i głosów w muzykalne szepty złożonych. Innej i inaczej pojmować nie mogłeś, nie umiałeś, nie marzyłeś. A jednak....

Życie całe ze światła i cieni, z kwiatów i cierni, z wolnych tchnień i przytłumionych westchnień złożone. Nie masz na świecie oka, dla któregoby ły gotowej nie było. I przyszło ci, tym samym młodem sercem i nieskażoną duszą, oglądać twą kochankę nie już na balu, lecz w kościele, nie z kwiatem w ręku, ale z gromnicą w dłoni, nie z utrefionym włosiem, ale czarnym welonem zakrytą, nie płynącą w tańcu, ale nieruchomą, jak bolesci posąg. Dawny zapał, miłość, zachwyty, pożądanie, rozlażyły się w uczuciu daleko piękniejszym. Spostrzegłeś że spojrzenie twój kochanki piękniejsze od ję oczu, że głos ję od ust cudniejszy, że wyraz postaci przyćmił czary ję kształtów, że teraz dopiero wiesz że ją bładą, smutną, modlącą się można więcej kochać, niż uśmiechniętą, wesołą i rzeźwą.

Otóż to wszystko dlatego tylko powiedziałem, aby odroczyć chwilę odpowiedzi na zapytanie twe, czytelniku, dlaczego nasze prowincje zmieniły fizyognomię.

Obiecałem tę tajemnicę na końcu mego pisanja wyznać. Koniec tuż.

Mówiłem o wszystkim, aby ten koniec oddalić. Uciekłem się do wywołania w tobie wspomnień miłości i miłości; obdarzyłem cię kochanką, której może nigdy nie miałeś; gotów byłbym nawet posunąć się dalej i obdarzyć cię taką żoną, a to wszystko, aby koniec, a z nim spełnienie obietnicy odkrycia zagadki, odsunąć na czas jakiś.

Bo też jestem w niezmiernym kłopotcie.....

Ale może nie koniec jeszcze mój kroniki? Może jeszcze uda się mi cokolwiek powiedzieć, aby nie tak rychło wyznać tajemnicę?...

Nie! katastrofa nieunikniona.

Słyszysz jak się niecierpliwisz, jak radbyś coprędzej koniec oglądać, jak szepczesz z gniewem i wymagasz bym ci przyczyny zmiany fizyognomii wypisał wyraźnie. Niech tak będzie.

Przygotuj się usłyszeć rzecz, której wcale spodziewać się nie mogłeś. Ale koniecznie wymagasz, więc masz odpowiedź:

Ja niewiem!...

A. N. K.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Szczęśliwą myśl powzięła Gazeta Warszawska, wprowadzając do swych kolumn rubrykę „*Wiadomości literackie*“, która obejmować ma miesięczne ogólne sprawozdanie z ruchu literackiego w kraju, a nawet i po za krajem, o ile to dotyczyć będzie piśmiennictwa naszego. Zapowiedź przyszła razem z cynamem, bo w Nrze 155 z r. b. redakcja zamieściła pierwszą tego rodzaju próbę, zawierającą już to pobieżny, już rozumowany i krytyczny przegląd z ostatnich tygodni, tak dzieł pojedynczych, jakoteż zbiorowych i peryodycznych, obiecując stałe rubrykę tę nadal utrzymywać.

Dotąd wszystkie wprowadzie nasze pisma czasowe, jedno mniej, drugie więcej, w miarę kierunku i specjalności, zajmują się ruchem literackim, ale żadne nie przyjęło jeszcze pewnego stałego systematu, za pośrednictwem którego ogół mógłby mieć ułatwionem dowiedzenie się o tem, co się pisze i drukuje w kraju; a tu właśnie bardzo chodzi o to ułatwienie, bo ogół nie lubi, a ponieważ i nie może nad tem pracy sobie zadawać. Jak nie przyjdzie do tego jednym rzutem oka, to najczęściej nie przyjdzie nigdy, a to pod pewnym względem jest może jednym z powodów obojętności na produkcje literackie, stagnacji w handlu księgarskim i tym podobnych drukowych niedogodności. Wielką więc zasługą i potrzebą jest wskazać, zainteresować, dać dużo do wyboru, aby każdy coś znalazł, w miarę swego gustu, ukształcenia i chęci. Nie mówimy tu o krytyce dzieł i publikacji pojedynczych, gdyż pomimo wszystkich krzyków i narzekania, fałszem jest, iżby prace ważniejsze przechodziły poza krytykę; nazwyczajiliśmy się od lat piętnastu krzyczeć na brak krytyki, i teraz jeszcze powtarzamy na pamięć dawną piosenczkę. Nie mówimy, powtarzam, o właściwej krytyce, rozległej, ale o jej odcieniu sprawozdawczym, nie tyle nauczającym, ile informującym. Takiego właśnie działu systematycznie prowadzonego brak u nas zupełnie. Gazeta Polska wprowadziła w artykułach początkowych skrętnie notuje różne publikacje krajowe i ciekawsze zagraniczne, ale rozrzucenie tych artykułów nie sprawia bynajmniej tego ułatwienia, o jakim wspominaliśmy. Postępowanie to użyteczne, ze względu, iż od czasu do czasu zwraca uwagę; nie może się jednak nazwać wyczerpującą kroniką ruchu umysłowego, z którejby skorzystać mógł należycie, bez wielkiego zachodu, i dzisiejszy czytelnik, i przyszły dziejopis dzisiejszego stanu piśmiennictwa. Tak też bywało dotąd i w Gazecie Warszawskiej. Biblioteka znowu Warszawska najsilniej ze wszystkich naszych pism czasowych reprezentuje krytykę właściwą, nadto prowadzi regularną kronikę bibliograficzną; ale bibliografia ma tylko użytek suchego materiału, jako wyliczenie tytułów, i nie zastępuje braku informacji mniej więcej spostrzegawczej. A właśnie dział o którym mówimy, najbardziej przystałby Bibliotece Warszawskiej, jako pismu miesięcznemu, wychodzącemu w książkach praktyczniejszych do przechowania nadal, niż numera gazet, i mającemu najliczniejsze i różnorodnych uzdolnień współpracowników. Dziwić się nawet wypada, iż Biblioteka Warszawska, przy takich warunkach moralnych (prawda że i materialne należy mieć na względzie) dotąd nie zaprowadziła u siebie takich miesięcznych sprawozdań z ogólnego ruchu literackiego, niezależnie od krytyki właściwej, w którą uboga nie jest. Tębardziej dziwnem to wydać się może, iż Biblioteka Warszawska ma u siebie wyborną *Kronikę paryżką*, która lekko, dowcipnie i z istotnym pożytkiem zapoznaje nas ogólnie z ruchem umysłowym Francji. Zdaje się że łatwiej, konieczniej i pożyteczniej byłoby postępowanie to zastosować do ruchu umysłowego w Polsce. Kuryerowi tylko Wileńskiemu należy oddać sprawiedliwość, iż prawie równo z początkiem swego istnienia prowadzi stałą kontrolę ruchu umysłowego, ale tylko co do pism peryodycznych. Kontrola ta jest i dosyć

zupełną, i dosyć nawet krytyczną; jest to jego zasługa, i pragniemy aby wytrwał na tej drodze, a nawet ją rozszerzył, jeśli można. Ależ pisma peryodyczne nie stanowią jeszcze wszystkiego.

Gazeta Warszawska obecnie podejmując tę użyteczną pracę, zaradza niezbędnej u nas potrzebie, dlatego też tę rubrykę ję uważamy za prawdziwy postęp, za istotne ulepszenie pisma. Nie tak to łatwa rzecz, jak się na pozór zdaje, zadowalniające prowadzenie takiej rubryki: dziwny się też kiedy Gazeta Warszawska, przeczuwając trudności, powiada że nie może przyrzekać, aby objęła wszystko bez wyjątku, nic nie opuszczywszy, ale czynić będzie tyle, „ile starczą siły jednej gazety i jednego człowieka.“ Zapewne, ileż to rzeczy potrzeba czytać, ile porównywać, pamiętać i zastanawiać się, ażeby koniec końców zapelnąć kilka kolumn pisma? Praca to mozolna, niewdzięczna, niebłyszcząca, i tęp zasłużona. To też nam się zdaje że nie jest to właśnie praca jednego człowieka, tak ze względu na obfitość, jakoteż na różność materiału. Gdyby można, radzilibyśmy, stosownie do rodzaju publikacji i czyjś specjalności, rozdzielanie pracy tej pomiędzy kilku ludzi jedną kierowanych myślą i dążnością. Niechajby dział literatury pięknej, nauk ekonomicznych, historycznych i przyrodzonych, miały oddzielnych sprawozdawców, którzyby co miesiąc z właściwego pola wypracowali stosowne artykuły; gazeta wtedy, zamiast raz na miesiąc, mogłaby dać kilka razy takie ogólne, treściwe sprawozdania, które obrobione byłyby kompetentniej i bez niczyjgo przeciążenia; rezultat moralny byłby pożądanym, a materialny, ze względu na redakcję, ten sam, gdyż obszerność kilku takich artykułów w miesiąc, wyrównałaby jednemu ciągowi raz miesięcznie podawanemu; systemby nawet zyskał na takim rozdzielaniu. Nie narzucając nikomu swoich widoków, czynimy tylko tę uwagę, dla poparcia zasady jaką Gazeta Warszawska miała ku wprowadzeniu tak użytecznej rubryki.

Pierwszy ję artykuł jest, jak sama się wyraża, dopiero próbą i programem. Widzimy już w nim, pomimo porywczoci, i sąd i dążenie do systematu. Długiego jeszcze czasu potrzeba będzie, nim się utworze droga; nie możemy też nie jeszcze dziś sądzić o wykonaniu. Zrobimy tylko jedną uwagę co do „*Przyjaciela dzieci*“, któremu sprawozdawca radzi zachowanie ściślejszej równowagi w zamieszczanych artykułach, przeciwiąc się temu, iż *Przyjaciel* zamieszcza artykuły, lubo dobrze opracowane, ale takie, których dla braku poprzednich wiadomości, czytelnicy nie ze wszystkimi zrozumieć będą mogli. Prawda, że redakcja *Przyjaciela dzieci* dotąd nie trafiła jeszcze na wysokość tonu z jakiego ma przemawiać do swych czytelników; ależ to dopiero dwadzieścia numerów, ton ten ułoży się z czasem, najlepiej wskaże go redakcji prenumerata. Z drugiej strony, jeżeli zdarzy się artykuł który w wielu miejscach potrzebować będzie objaśnienia, to nie uważamy tego wcale za taką winę. Wszak *Przyjaciel dzieci* przeznaczonym jest najprzód nie dla zupełnie początkujących, ale dla znacznie już posuniętych i otrząskanych przez samo wychowanie z wielu rzeczami, o których później dopiero należytego wyobrażenia nabierać będą; następnie dziecko samo nie czyta, ale ma przecież kogo co niemi kieruje; otóż właśnie miejsce trudniejsze, lub [dla braku szczegółów niezrozumiałe, otwiera sposobność do ustnego wykładu rodziców czy nauczyciela i tęp samemu obostrza zajęcie wspólne. Nie to więc nie szkodzi, że dziecko które nie uczyło się jeszcze historii literatury, dostanie artykuł o Brodzińskim, byle ten artykuł przystawał tylko do miary jego ogólnego pojęcia; wszak znajdzie się tam ktoś co mu służyć będzie za komentarz; a i owszem, niech się co najwięcej i najwcześniej z wielkimi imionami poznaje. Wreszcie sprawozdawca Gazety Warszawskiej chce zapatrywać się na *Przyjaciela*, jak na dzieło edukacyjne, systematycznego wykładu; dobrze by to było, ale to być nie może, ono może być tylko jego dopełnieniem, a jedynym systematem jego powinna być równość tonu, jedność ogólnej myśli, obok różności artykułów. W traktowaniu *Przyjaciela* aż dotąd widzimy wprowadzie jakąś niepewność drogi, ale przystęp rękę tak umiejącą, że mamy wszelką nadzieję, iż ta niepewność usunie się wkrótce i *Przyjaciel* znajdzie uznanie, na jakie zasługuje; niech się tylko raz zdecyduje, czy ma pisać dla 9cio, czy dla 15sto letniej młodzieży, bo dotąd stanowczo się nie oświadczył, a to wielka różnica i obu wiekom w jednym piśmie dogodzić nie można.

Witając temi słowy nowy pomysł Gazety Warszawskiej, uważamy ją już za zobowiązaną do tej rubryki, której długo z upragnieniem oczekiwaliśmy; życzymy ję powodzenia na tej drodze, i przedewszystkiem wytrwałości, bo to droga, z doświadczenia wiemy, wcale nie kwiecista.

NOTATKI Z PODRÓŻY PO EUROPEJSKIEJ TURCYI.

PRZEZ

Warszawianina.

I. STAMBUŁ.

(Ciąg dalszy.)

Położony na *Piccolo-Campo* cmentarz turecki, jest niby saskim ogrodem, niby bulwami Pery, miejscem schadzek i przechadzek tutejszego piękniejszego świata. Brzegiem którego idzie obszerna i najporządniejsza ze wszystkich ulica, której drugą stronę zajmuje rząd prawdziwie pięknych, w pół europejskim, w pół wschodnim stylem przyozdobionych domów, z wystawnymi restauracjami i kawiarniami, z przecudnym widokiem na cmentarz, na leżący w dole port złotego-rogu, ożywiony niezliczoną liczbą masztów i przemyskających łódek, i na rozciągający się po za nim turecki Sztambuł. Kiedy zapadający zmierzch zamgli już nieco widoki dalsze, cmentarz przybiera za to szczególnie malowniczą i poetyczną powierzchowność. W posępnym cieniu szumiących cyprysów, wśród stojących kamieni nadgrobnych, które z wyciosanymi na wierzchu turbanami i fezami niezmiennie są z daleka do stojących osób podobne, przechadzający się czynią wrażenie, jak gdyby niektóre z nagrobków ożywały się i nawidzały między sobą.

Gran-Campo, na które wychodzi główna ulica Pery, rozciąga się po drugiej stronie przedmieścia, na płaszczyźnie ku Bosforowi się zniżającej. Tu już nie jeden, ale całym rzedem zalegają cmentarze różnych wyznań: grecki, katolicki, protestancki, muzułmański. Widoki ztąd, chociaż zawsze piękne, nie dorównują temu, jaki się z *Piccolo-Campo* rozwija; kawiarnie, tu i owdzie rzucone, bez porównania skromniejsze, towarzystwo też, które się w nich i koło nich zbiera, mniej doborowe, choć nie mniej liczne. W święta każdego z wyznań wszystkie te cmentarze zaludniają tłum świętujących, z niższych klas społeczeństwa, i wtemczas osobliwie nastroją się tu bogate dla postrzegacza pole.

W piątki, poważni i ocieźniali Turcy, zasiadłszy wokoło kawiarni lub na głazach grobów, w milczeniu lub przy obumarło prowadzonej rozmowie, piją kawę i palą fajki, z oczyma wlepionymi w brzegi Azji, swęj ojczyzny, podczas gdy żeńska ich połowa błądzi smutno po mogiłkach, chciwy wzrok rzucając ukradkiem na przechodzących *Franków*. Jeżeli spotkanie nastąpiło w odludnej ustroni, a towarzyski przechadzki mogą sobie nawzajem zaufać, w takim razie chwil kilka wystarcza na zrobienie znajomości z *giawrem*, na porozumienie się wymownym językiem migów... Snać jednak tajemnica tych schadzek improwizowanych zachowuje się doskonale, gdyż niesłychać o wypadkach krwawej zemsty, do której byłyby powodem; a może też Turcy terazniejsi wolą niewierzyć tego rodzaju plotkom, choć te uszu ich dochodzą.

W sobotę miejsce Turków zastępują Żydzi, w podobny jak tamci sposób używając dnia spoczynku. W niedzielę robi się najtłumniej i najgwarniej: Grecy, Ormianie i różnorodna mieszanina chrześcijańskiej ludności, zamieszkującej Pera, rozsypuje się jak mrowie po całej przestrzeni wielkiego pola umarłych. Przekupnie łakoci rozkładają się z niemi po grobach, lub obnosząc okrzykują je na głos cały, dorostki chłopcy bawią się rzucaniem kęgów, brzmi muzyka, a w niektórych dni roku skoczny taniec idzie w najlepsze po płaskich kamieniach nagrobnych...

Gdybyśmy ze stopnia pamięci o zmarłych, brali miarę o moralnych usposobieniach właścicieli różnych cmentarzy, najkorzystniej sąd wypadłby dla Ormian, którzy swój z wielką dbałością, pieczołowitością, a nawet z widoczną miłością utrzymują; najgorzej dla Chrześcian trzech innych wyznań. Wprawdzie i turecki cmentarz, (a jak tu, tak jest i wszędzie) uderza smutnym opuszczeniem, pozapadaniami grobami, pozawalaniami nagrobkami, ale to zaniedbanie jest zupełnie zgodne z całym usposobieniem i obyczajami Muzułmanów. Trudno brać za złe ludziom, którzy się zawałać domom po nad głowami własnymi i gryźć się robactwu cierpliwie pozwalają, że niewiele się troszcza o to, jak tam wyglądają grobowiska ich ojców i dziadów. Zresztą najbardziej opuszczony turecki cmentarz nie da się jeszcze porównać z chrześcijańskimi: greckim, katolickim, protestanckim, którym pożałowano nawet tej najpowszechniejszej i najwłaściwszej ozdoby, jaką jest zieloność drzew, tak łatwo i bujnie na

żyźnej ziemi, pod łagodnym niebem tutejszym się krzewiących. A przecież każde z tych wyznań liczy tu w swym gronie bogatych finansistów, dla którychby złożenie niewielkiej sumki na jakie takie zamknięcie i upiększenie miejsc tych uroczystych prawdziwą było fraszka!...

Grobowców na osobliwą zasługującą uwagę niewiele umiano mi wskazać. Na ormiańskim cmentarzu, jako dziwny dowód wschodniej naiwności, uderzają niektóre kamienie, przedstawiające osobę wiszącą, lub tułów ludzki bez głowy. Grobowce to znakomitych Ormian, z rozkazu Wysokiej-Porty niegdyś powieszonych lub ściętych, przez familie pozostałe wzniesione. Nie umiejąc po ormiańsku, dopytywałem ciekawie znających język ten i ludzi ziomków, czy w napisach tych grobów nie mieści się coś, coby myśl położenia rzeźby dopełniało, jakiś wyraz przekazania zemsty lub skargi. Zapewniano mnie, że nie ma nic podobnego, lecz że pomniki tego rodzaju uważają się za zaszczyt familii, dowodząc wysokich stosunków jej przodków.

Na cmentarzu protestanckim pokazywano mi stary kamienny sarkofag, jak podanie przekazuje, słynnego Rakocznego, ale z którego płyt wierzchni, napis na sobie mieszczący, gdzieś zniknął. Na katolickim znajduje się kilka kamieni, zwłoki rodaków naszych pokrywających, jako to: Janowskiego, kapelana przy Potockim, podczas jego w Sztambule posłowania, tudzież Sahadziejewicza, Markowskiego i Pułaskiego Józefa, z konfederacji barskiej dziejów znanych. Nazwisko tego ostatniego i cały na grobie jego napis, przed dziesiętkiem lat jeszcze czytelne, dziś całkiem z kamienia znikły. Na krótki czas przed moim do Sztambułu przybyciem, jeden z podróżnych magnatów oświadczył chęć uczczenia tych ziomków nowym, bardziej widocznym pomnikiem, na który wygotowanie projektu zamieszkującemu w Pera Warszawianinowi i znajomemu memu, Karolowi Martiniemu, polecił. Zdolny ten artysta uczynił zadość życzeniu powszechnemu, włączając w projekt nowego, bardzo gustownego i odpowiedniego pomnika, owe trzy, stare, zczerniałe i mchem porośnięte płyty kamienia, które niegdyś zmarłym osierociłali położyli towarzysze; lecz gdy spodziewanemu wzniesicielowi odeszła tymczasem ochota, wymowne te głazy zapadają jak wpięty w ziemię, scierane coraz bardziej stopami przechodniów.

Kiedy tak u jednego krańca Pery rozciąga się nieprzejrany prawie szereg różnorodnych cmentarzy, u drugiego stoku wzgórza, przedmieściu temu za podstawę służącego, rozciąga się obszerna równina którą każdy z Europejczyków za cmentarz również poczytać musi, jakkolwiek zgola nim nie jest. Całą tę przestrzeń okrywa mnóstwo rozrzuconych bez ładu mniejszych i większych, starych i nowszych, kutych z marmuru i napisami ozdobionych kolumn, na grobowe pomniki wyglądających. Tymczasem jest to tak zwany *Ok-majdan*, czyli plac-strzał, na którym każdy z sułtanów, tradycyjnym obyczajem, doświadcza siły swego ramienia strzelaniem z łuku. Miejsce gdzie za każdą razą padnie strzała padyszacha, oznaczone zostaje ozdobnym pomnikiem, i w ten to sposób powstało to pozorne grobowisko. Nie wiem jakie ono robi wrażenie na Turkach, religijną niejako czcią dla osób sułtanów swoich przejętych; ale każdy gość zachodni z niesmakiem odwraca się od tych pamiątek drobiazgowej próżności potężnych mocarzy, którzyby innymi tryumfami i pomnikami imiona swe uwiecznić powinni.

Zresztą Pera, która, aż do XVI wieku pokryta była winnicami, i od tej dopiero pory, w skutek dozwoleń osiadania w niej posłom europejskim udzielonego, wznosić się zaczęła, nie posiada żadnych starożytności pamiątek. Meczety muzułmańskie tu rozrzucone należą do podrzędnych, katolickie zaś kościoły, których jest kilka, we wnętrzu domów ukrytych, choć zamożne i starannie przyozdobione, nic szczególnego do oglądania nie przedstawiają.

Szczęśliwsza w tym względzie jest starsza sąsiadka Pery, Gałata, która oprócz swego warownego muru, posiada kolosalną, okrągłą wieżę, przez Genuńczyków jeszcze zbudowaną, dla oświecenia wnijsia do portu, a dziś na uważalnie dla straży pożarnej zamienioną. Na szczyt jej żaden z podróżnych wstąpić nie zaniebduje, gdyż widok który się z niej na Sztambuł i rozległe jego okolice otwiera, należy do najcudniejszych jakie wymarzyć sobie można. W Gałacie także znajduje się najważniejszy zakład katolicki w całym Carogrodzie, ogromny klasztor księży lazarystów, z powodu swych środków i szkół które utrzymują wywierających największy wpływ na katolicką ludność tej stolicy.

Do Gałaty po obu stronach nadbrzeża przytykają dwa czysto tureckie przedmieścia: *Top-hane* z jednej, *Dołma-Bagcze* z drugiej strony. Pierwsze z nich, han-

dlowe i ruchu pełne, bierze nazwę od wznoszącego się po nad samym brzegiem portu arsenału artylerji, owej broni, której obfitością i niezmiernymi rozmianami Turcy imponowała niegdyś wszystkim innym państwom. To też i arsenał, w owych lepszych czasach Islamu zbudowany, odznacza się nietylko wielkością, ale zarazem wspaniałością i pięknnością poważną architektury, jakiej niewiele przykładów w Sztambule całym się znajduje. Dziwnie jednak gmach ten pyszny i również okazały przy nim meczet, dla europejskiego oka odbija od otaczających go lichych kłetek, sklepików i kramów.

Dołma-Bagcze, cicho i ustronnie ponad Bosforem położone, obok pary gustownych meczetów, posiada dwa pałace sułtańskie, stary, przez zmarłego sułtana Mahmuda zbudowany i nową, zaledwie wzniesioną rezydencją Abdul-Medzida.

Dźwigając gmach ten, monarcha turecki uczynił zadość zwyczajowemu prawu niejako, podług którego każdy sułtan nowym pałacem wzbogaca swą stolicę, tak iż dziś trudno już je zliczyć wszystkie, pustkami stojące. Z drugiej jednak strony postąpił sobie wbrew zwyczajowi przyjętemu przez poprzedników, stawiając mieszkanie z muru, gdy dotychczas li w drewnianych gmachach panujący osmańscy zamieszkiwali, jak nie mniej w budowie nowej wprowadzając, o ile było podobna, najwięcej architektonicznych europejskich żywiołów. Pałac więc w Dołma-Bagcze jest niejako uwiecznieniem monumentalnym tej tak zwanej *reformy*, czyli europeizowania Turcyi, którą Mahmud II rozpoczął, a z którą dziś rząd do ładu przyjąć nie może. Podobno jednak bardziej w duchu reformy by było, przy dzisiejszym zruinowanym stanie finansów, poprzestać na tylu rezydencjach do wyboru stojących, a te mnogie miliony, które przy tutejszym systemie administracji i drogocie zdolnego rzemieślnika kosztować musiał pałac nowy, na użyteczniejsze poświęcić przedsięwzięcia.

Zapomniawszy o względach finansowych, przyznać trzeba że pałac Abdul-Medzida wspaniałością odpowiada dostojnemu celowi swemu. W każdym innem mieście świata należałoby do najokazalszych budowli, w Sztambule zaś, oprócz kilku meczetów, żaden budynek równać się z nim nie może. Leży on, frontem zwrócony ku Bosforowi, tuż prawie nad samym brzegiem i z tej strony otoczony złością misterniej rchoty balustradą, w bogactwie mnogich architektonicznych ozdób swoich, wygląda prawdziwie jak jeden z czarownych pałaców bajki wschodniej. Od strony za to ładu zaledwie jakieskolwiek sprawić może wrażenie. Ponieważ bowiem tymczasowo publiczna droga prowadzi tuż około ścian pałacu, wymagania obyczajów wschodnich zmusiły do zamknięcia go niemal całkiem wyniosłym ślepym murem, który bardzo przykro w oko wpada. Tylko brama wjezdna, przepysznie rzezbą ozdobna, i widzialny przez nią boczny fronton gmachu, pozwalają odgadnąć przepych w nim rozwinęty.

Styl pałacu Dołma-Bagcze, którego budowniczym, mówiąc nawiasem, był Ormianin sztambulski nazwiskiem Karabet Kalfa, ściśle oznaczyć trudno. Najbardziej zbliża się do tak zwanego stylu odrodzenia, urozmaiconego tylko niezmiernie fantastycznością przyozdobień snycerskich, których pojedyncze części różni artyści mając do woli całkiem oddane, rozwijali w nich jaknajswobodniej swe pomysły, o to tylko dbając, ażeby w dysharmonii z całością się nie znalazły. I przyznać trzeba, że próba tej artystycznej ruchawki jaknajszczęśliwiej się powiodła.

Wewnątrz gmachu, obok przepychu, panuje równaż rozmaitość. Każdy niemal apartament odmiennym zupełnie odznacza się gustem; w ogóle jednak najwięcej przeważa styl Ludwika XIV, odrodzenia i rokoka, z mnóstwem rzeźb, złocen i fresków na ścianach i sufitach. Niektóre sale, oświetlone kolorowymi oknami, wyglądają jak mieszkania wrózek, a maurytańska łazienka, z najkosztowniejszych wykuta marmurów, należy do arcydzieł sztuki. Najpysniejsze kobierce i tkaniny zdobią podłogi, siedzenia i ściany, a meble rzeźbiarskiej, kosztownej roboty, z palisanu, mahoni i cedru, niemal wszystkie wykonane były w największych stolicach Europy. Jak mnie jednak zapewniali niektórzy z ziomków, co jako rzemieślnicy lub artyści w budowie tej brali udział, pod świetną powierzchownością niemało się tam kryć ma fuszerki, tak iż jeszcze przed zupełnym wykończeniem gmachu niejedno naprawiać w nim okazała się potrzeba.

Przechodząc i przejeżdżając po wielekroć około Dołma-Bagcze, po parękroć spotykałem sułtana Abdul-Medzida, wracającego lub wyjeżdżającego z pałacu w niezbyt licznej towarzystwie wojskowych, dygnitarzy i czarnych rzeźniców. Przystojna, choć jakby znu-

żona lub zużyta twarz Abdul-Medzida jest wierną duszą zwierciadłem. Jak Turcyja Turcyja, nie miała podobno nigdy jeszcze tak pełnego dobroci i ludzkości władcy; przyznają mu to sami i obcy, skarżąc go natomiast o brak energii i woli do rządzenia państwem potrzebnych. Nie zapominajmy jednakże, iż po parę razy, gdy tego honor i szlachetne uczucia jego wymagały, Abdul-Medzid znalazł energią, godną władcy najpotężniejszego kraju, która mu zaszczyt przynosi. Jeżeli zaś nie jest w stanie powstrzymać nieładu administracji i wewnętrznego rozkładu w łonie monarchii nurtującego, trudno go o to obwiniać, bo w dzisiejszym rzeczy stanie nie ma podobno energii i zdolności takich w świecie, któreby tego dokazały.

Jako dowód wielkiej dobroci serca panującego sultana, przytaczają powszechnie obejście się jego z bratem młodszym, Abdul-Azisem. Kardynałem prawem muzułmańskich władców było dotąd, dla uniknięcia partyj i wstrząszeń niebezpiecznych w państwie, pozbawiać życia wszystkich braci. Abdul-Medzid pierwszy zgwałcił to nieludzkie prawo, zachowując życie bratu, a contentując się jego zamknięciem. „Piękna mi łaska!” może ktoś zawołać; ale przy wyobrażeniach tu panujących zamknięcie było koniecznym, ażeby rząd zabezpieczyć od wstrząszeń i domowej wojny; a i tak, chociaż uwięziony i pilnie od wszelkich strzeżony, brat żyjący musi być dla panującego wiecznym widmem postrachu, gdyż z każdym dniem jakie niechętne stronnictwo na tron poprowadzić go może.

Wieżenie Abdul-Azisa, przez Turków *Kawez*, to jest klatka zwane, łączy się z pałacem sultanskim w Dolma-Bagcze, ułatwiając obu braciom widywanie się z sobą, a może i strzeżenie uwięzionego, który zresztą opływa tu we wszystkie dostatki i przyjemności życia, jakie niewolę uprzyjemnić mogą. Pomimo pilnego odosobnienia, uchodzi on w Turcyi za przeciwnika reform, za Muzułmanina wcale znaczeniu wyrazu, i dlatego w razie nieukontentowania imię Abdul-Azisa obiega usta wszystkich staro-Turków, z jakich po prawdzie składa się niemal cała muzułmańska ludność państwa. Pytanie jest jednakże, czy na tej zmianie panujących, gdyby kiedy do skutku przyszła, (*) wyszliby dobrze i Turcy sami i Turcyja. Jak bowiem mówią, może skutkiem długiego więzienia, w młodszym bracie sultanskim rozwinąć się miały, obok energii, niektóre dzikie instynkty, dziś ze stanowiskiem władcy, nawet w Turcyi, do pogodzenia już niepodobne. Między innymi rysami jego charakteru opowiadają, że co rano każe przyganiać liczne stado drobiu, na potrzebyienne dworu przeznaczone, któremu dla satysfakcji lby pałacem zmiata. Może być zresztą że ta i tym podobne pogłoski rzucane są z wyrachowaniem przez zostającą u władzy partję, ażeby uwięzionego uczynić mniej pożądanym następcą.

Przy Dolma-Bagcze spotykałem także często kobiety sultanskiego haremu, w powozach najświetniejszej europejskiej mody, jaskrawością tylko kolorów i niezwykłą wielością ozdób gustowi wschodniemu hołdujących, na przechadzkę wyjeżdżające. Było tego zwykle dwa, trzy, do pięciu powozów, po dwie, trzy lub cztery osoby w sobie mieszczących. Pomimo obowiązkowych *jasmaków*, twarze ich niemal całe obwijających, dzięki przejrzystości gazy na nie użytej, każda z naszych dam, zapuściwszy welon, jest bez porównania mniej widzialną od tych haremowych piękności. Piękne mniejszej były wszystkie, jakie mi się widzieć tylko zdarzyło; różami haremu nazwałbym ich jednak nie mógł, pewna bowiem bladeść cery była ogólną ich cechą. Biedne krzewiny w zamknięciu trzymane, nie dziwić się że żółknęły. Przy cerze tej jednak przeudnie odbijają ich ciemne, głębokie i ogniste razem oczy. Ileż to tęsknoty i żądz przegląda przez te zwierciadła duszy!

Czarni, o szkaradnych, płaskich twarzach rzezańcy, ze wszystkich stron na koniach powozy otaczający, a w czamarach sutych naszego kroju jak wilki w chomontach wyglądający, za każdą razą, gdy się zbyt bystro wpatrywał, robili straszne miny—lecz gdy widzieli, że te nie czyniły skutku, kontentowali się kłusując dalej, rzucaniem kilku na wół-głosnych przekleństw. Dawniej niechybnie dostalibyśmy kindżałem w piersi; nie można więc mówić żeby reforma była zupełnie bez wpływu w Turcyi. Prawda i to, że było to w czasie, kiedy kilkadziesiąt tysięcy wojsk europejskich stało w Stambule, co niezawodnie nie mało Muzułmanów do tolerancji usposobić musiało. Tolerancja dochodziła tak daleko, że gdy podczas bytności mojej jakiś pijany angielski majtek na wielkim moście,

w dzień biały, wśród tłumu Turków, pocałował przechodzącą Turczynkę, Muzułmanie, zamiast rozśiec go w miejscu, stanęli tylko osłupiali, wykrzykując *fanem! fanem!* (wstyd! wstyd!), i dozwolili swobodnie odejść przestępcy. Podobno że wzięli go za waryata, a waryatom, jako ludziom od Boga dotkniętym, wszystko tu uchodzi.

Wracając do haremu, instytucja ta, będąca rakiem tureckiego państwa, bo ruinująca jego finanse i denerwująca władców, jest u nas tak mało znana, że jej kilka słów koniecznie poświęcić muszę, tem bardziej że pewien jestem, iż co do szczegółów wiernie poinformowany zostałem.

Powszechnie słychać wyrazy żalu dla biednych ofiar haremu, trzymanych w wiecznej niewoli i więdnących nieraz jak kwiat nieuszczerbiony; w rzeczy jednak samej trudno osądzić kto nieszczęśliwszy: one, czy wszechmocny ich pan i właściciel, sultan. Harem nie jest bynajmniej utworem rozpasanych chuci, za jaki go zwykle u nas biorą; jest on naturalnym wynikiem pojęć i obyczajów muzułmańskich. Wielosć żon od najdawniejszych czasów na Wschodzie była atrybutem władzy, okazałością nieodzowną, jak na przykład u nas niegdyś trzymanie wielkiej liczby rezydentów i dworzan, choćby się bez nich wcale obyło; samo z siebie więc wypadło, że w domu najpotężniejszego władcy islamu zbytek ten do najwyższych wzrosnąć musiał rozmiarów. Zwyczaj, na całym Wschodzie moc prawa mający, nie dozwalał padyszachowi, pomimo całej jego samowładzy, zwinąć haremu, lub usunąć się od niego, tak iż rzecz można, biedny władca osmański skazanym jest niejako na spędzanie znacznej części życia w tem denerwującym ciele, a zabijającym ducha otoczeniu.

Za dawnych czasów, zwłaszcza gdy jeszcze sultani zamieszkiwali stary seraj, liczba wszystkich kobiet w haremie do tysiąca dochodziła. Dziś jest ich wszystkich, od najwyższych do najniższych licząc, od trzech do czterechset. Są to niewolnice po części kupne, po części darowane przez różne prowincje państwa, tudzież corocznie przed świętem bajramu, w imieniu całego narodu padyszachowi ofiarowane. Prawych żon, jakich sultanowi zwykle siedm przypisują, nie ma on wcale; owszem zwyczajowe prawo Osmanów mieć mu ich zgola nie dozwala, a nazwa *syna niewolnicy* wchodzi w liczbę tytułów sultanskich. Siedm jednak wybranych kobiet, nazwę *kadun* czyli pań noszących, stoi najwyżej w hierarchii haremowej, co im daje niemałe prawa do zadowalania kaprysów i trwonienia skarbów sultanskich. Do usługi ich należy około siedemdziesiąt pokojówek, po tureku *odalik*, z kąd powstała europejska nazwa odalisek. Na urząd ten odbierają one staranne wychowanie w muzyce, tańcu, hafcie i tym podobnych kobiecych talentach, z nich to bowiem dopełnia się poczet *kadun*, w miarę jak tych ubywa. Aż do zawałowania miejsca na *kadunę*, każda odaliska, którą sultan zaszczylił względami swemi, zwie się *ikbal*, to jest faworytą, otrzymuje osobną usługę i apartament, i w ogóle używa prawie wszystkich co i *kaduny* korzyści. Pozostałej liczby dopełniają dziewczęta na przyszłe odaliski się wychowujące, a wreszcie białe i czarne niewolnice do posług całego haremu. Wszystko to razem jest pod nadzorem starej ochmistrzyni, której turecka nazwa wyszła mi z pamięci, a pod strażą czarnych, złych jak psy, rzezańców, których naczelnik, *kyslar-aga*, w hierarchii dostojników tureckich zajmuje bardzo znakomite miejsce.

Ze najczujniejszych strażników nie zdołała ustrzedz kobiety, jeżeli własna nie strzeże jej cnota, najlepszym dowodem są haremowe piękności, które pomimo najgroźniejszych niebezpieczeństw, umięją bardzo często oszukać swego władcę. Oprócz rzadkich wprawdzie, lecz zdarzających się jednak przypadków wykradzenia, dość częste przykłady zemsty krwawej wywiebranej współtajemnie na uszczęśliwianych przez nie Grekach, pozwalają się domyślać ile przewinień niedotkniętych pozostawać musi. Czy, jak za dawnych czasów, przeniewiercza odaliska topioną zostaje w Bosforze, czy też mniejszą tylko jaką ponosi karę, są to tajemnice, których nikt jeszcze nie badał.

Otwarcie z mężczyzną do haremu przystęp niekiedy mają tylko: doktor, w razie ciężkiej słabości którejś z faworyt, lub rzemieślnicy, kiedy jakiejś naprawy nieodzowna zachodzi potrzeba. Doktor służbę tę pełniący bywa stary, biedni zaś rzemieślnicy muszą robotę swą odbywać pod najściślejszym dozorem rzezańców i pod ciągłym o siebie strachem, nie odrywając w żadną stronę oczu, jeżeli nie chcą zostać bez miłosierdzia zbitymi, a nawet skłutymi nożami i w tym stanie na ulicę wyrzuconymi.

Niegdyś harem, to jest faworyty uprzywilejowane

sultanów, wywierały wpływ nieraz przeważny na politykę Turcyi; dziś, gdy polityka ta stała się mniej osobistą, a więcej gabinetową, wpływ kobiet udziału bezpośredniego brać już nie może. Pośrednio jednakże i dzisiaj faworyty oddziałują niezmiennie na losy państwa, szalonemi wydatkami niszcząc skarb sultanski, a tem samem z dniem każdym czyniąc rząd słabszym i zawisłym, nie tylko od wpływów postronnych mocarstw, ale tego lub owego finansisty. Jak za dawnych czasów zaś, tak i dzisiaj, pojęcie w małżeństwo jednej z kobiet haremowych, staje się dla poddanego sultanskiego drabiną łask i dostojenstw, do których w interesie państwa zdolności i zasługi powinnyby służyć za szczeble.

Prócz Dolma-Bagcze, para jeszcze innych podrzędnych przedmieść przytka do Galaty i Pery; nie przedstawiają one jednak nic na zwidzenie zasługującego, prócz chyba jednego Kassim-Pasza, głównej kwatery konstantynopolskich Żydów, godnej obejrzenia dla poznania w jakim to brudzie i nędzy człowiek mieszkać i żyć jest zdolnym.

Do utrzymania przez zatokę komunikacji tej strony miasta z właściwym Stambulem, oprócz niezliczonego mnóstwa rozmaitego rozmiaru łódek, *kaikami* tutaj zwanych, służy szeroki most drewniany, tej prawie co nasz warszawski długości. Szczęśliwszy tylko od naszego, nie potrzebuje ani być zbieranym na zimę, ani ciężkimi łańcuchami bronić się przeciwko lodom, ani skracać się lub przedłużać, w miarę przypływu lub odpływu wody. Na wiecznie czystej i spokojnej zatoce, zaledwie podczas srożej burzy doświadcza lekkiego kołysania fali. W razie potrzeby, może być roztwartym dla przepuszczenia w głąb portu większego rozmiaru statków; rzadko się to jednak zdarza, gdyż i tak między mostem a Bosforem miejsce aż nadto wystarcza do pomieszczenia największej floty w świecie.

Samo wybrzeże portu, zabudowane mnóstwem kawiarni, składów, sklepów i kramików, przedstawia ten sam obraz niezmiennego handlowego ruchu, jak nadbrzeżne uliczki Galaty, mniej tylko wyuzdaniem i rozpustą. Prosty i ciemny europejski ubiór z rzadka ledwie dostrzegać się tu daje wśród ruchliwego i jaskrawo przyodzianego tłumu, odpowiadającego najzupełniej owym obrazom dawnej szkoły, widoki portów wschodnich przedstawiającym, które w dzieciństwie, obok lektury Turczyzna wojażującego, tak silnie zapalały wyobraźnię nasze do widzenia kiedyś tych stron oddalonych. Przetłoczywszy się, nie bez trudu, wśród tej malowniczej ciżby, przez wąską bramę w dawnym obronnym murze, w niejakiej od brzegu odległości się wznoszącym, wchodzi się dopiero do miasta.

Jedną z najważniejszych cech Stambułu, która już i z tamtej strony zatoki uderzała, z tej zaś silniej jeszcze bije przybyła europejskiego oko, jest niezmienna dysharmonia pomiędzy wspaniałością gmachów publicznych, a niedbałością i lichotą reszty budynków. Mecety, koszary, akademie stambulskie mogłyby godnie zdobić place i ulice najpiękniejszych stolic, podczas gdy drewniane domy najlepiej jeszcze zabudowanych okolic miasta zalewie odpowiadają powierzchowności drugorzędnych miasteczek naszych, porządniejsze zaś ulice częścią najlichsze z przedmieść, częścią nawet wsi nasze zupełnie przypominają. Po wielu z nich można w dzień biały godzinę całą błądzić pomiędzy dwoma rzędami glinianych murów i drewnianych parkanów, których bramy i furtki szczególnie stoją zawarte, nie spotykając jednej żywej duszy, którejby się o drogę spytać można. Francuzi, którzy w czasie wojny krymskiej, mając sobie oddane koszary Daud-Pasza na jednym końcu Stambułu, a na drugim końcu prawie położoną intendenturę, potrzebowali często przebywać labirynt takich bezimiennych i pustych uliczek, poradzi sobie umieszczonymi co kilkadziesiąt kroków tabliczkami, na których napisy: *Daoud-Pacha l'intendence*, obok dwu przeciwnie biegnących strzałek, kierunek wskazywały. (Dalszy ciąg nastąpi.)

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Nieznamomiej czytelniczko na uczynione nam zarzuty odpowiadamy, że zanadto snadź uniesiona zaczęła nierozważną gorliwością, nie pojęła prawdziwego znaczenia słów zacytowanych, w których oko niezmiernie niezażenione z łatwością dostrzeżesz mogło ukrytą w nich ironię. W każdym razie upewniamy szanowną korespondentkę, że dotychczas nikt jeszcze w szpaltach naszego pisma nie dostrzegł i nie dostrzeże wyrazów obudzających „smutek i oburzenie.”

Panu S. z Gostynińskiego. Przytoczone fakty, oprócz sceny jarmarcznej, nazbyt są drobiazgowo, abyśmy pomieścić je mogli w kronice tygodniowej. Nam potrzeba rysów szerszych, charakterystycznych, znaczenia ogólniejszego. Dziękujemy jednak za pamięć i dobre chęci. Z owej sceny na jarmarku przy sposobności może zrobimy użytek.

(*) Śmierć sultana Abdul-Medzida niedawno przypuszczenie to sprawdziła. (Przyp. redak.)